

**JOSEPH  
CONRAD**

LORD JIM

Joseph Conrad

**Lord Jim**

«Public Domain»

## Conrad J.

Lord Jim / J. Conrad — «Public Domain»,

Historia zmagania z losem młodego, wrażliwego Anglika, oficera marynarki pływającego na krańcach znanego świata, rozgrywająca się w egzotycznych realiach mórz i portów południowo-wschodniej Azji. Najwyżej ceniona z powieści Conrada, mimo bardzo dobrego przyjęcia przez czytelników, z powodu niekonwencjonalnego sposobu opowiadania początkowo nie cieszyła się uznaniem krytyki. Zamiast prostej narracji, prowadzonej liniowo i chronologicznie, autor zastosował zmiany perspektyw czasowych, budując aurę tajemniczości wokół wydarzeń. W zasadniczą opowieść, snutą przez kapitana Marlowa, zostały wplecione relacje innych osób, z czym wiążą się zmiany narratorów i punktów widzenia. Błyskotliwie używając tych nowatorskich środków konstrukcyjnych do przedstawienia problematyki psychologiczno-moralnej, historii tragicznej porażki człowieka i jego odkupienia, Conrad położył podwaliny pod nowy, modernistyczny typ powieści.

© Conrad J.

© Public Domain

## Содержание

Tom pierwszy	5
Przedmowa autora	5
Rozdział pierwszy	7
Rozdział drugi	10
Rozdział trzeci	13
Rozdział czwarty	18
Rozdział piąty	21
Rozdział szósty	31
Rozdział siódmy	40
Rozdział ósmy	46
Rozdział dziewiąty	51
Конец ознакомительного фрагмента.	52

# Joseph Conrad

## Lord Jim

### Tom pierwszy

#### Przedmowa autora

Gdy powieść ta po raz pierwszy ukazała się w druku, rozeszła się pogłoska, że jej temat mię poniósł. Niektórzy z recenzentów utrzymywali, iż utwór, pomyślany z początku jako nowela, rozrósł się wbrew intencjom autora. Paru krytyków odkryło i w treści książki stwierdzenie tego faktu, który wydał im się zabawny. Wskazywali na granice zakreślone formie narracyjnej. Dowodzili, iż nikt nie mógłby przez tak długi czas opowiadać ani też słuchać tak długo. Uważali, że to nie jest zbyt wiarygodne.

Myślałem nad tą sprawą przez jakieś szesnaście lat i nie zdaje mi się, aby owi krytycy mieli słuszność. Wiadomo, że – i pod zwrotnikami, i w klimacie umiarkowanym – ludzie siadają nieraz późno w noc, „snując opowieści”. Wprawdzie *Lord Jim* jest tylko jedną opowieścią, ale zachodzą w niej przerwy dające możliwość odpoczynku; a jeśli chodzi o wytrzymałość słuchaczy, trzeba przyjąć założenie, że opowieść *była* zajmująca. Jest to hipoteza zasadnicza i konieczna. Gdybym nie uważał tej historii za interesującą, nie mógłbym zacząć jej pisać. Co się zaś tyczy fizycznej możliwości jej opowiedzenia, wszyscy wiemy, że zdarzały się mowy w parlamencie trwające blisko sześć godzin; tymczasem całą część książki, która stanowi opowiadanie Marlowa, można przeczytać głośno – powiedzmy – w mniej niż trzy godziny. Przy tym omijałem starannie wszystkie błahe szczegóły w powieści, należy więc przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiający napoje – na przykład szklankę wody mineralnej od czasu do czasu – co ułatwiało Marlowowi opowiadanie.

Ale – mówiąc poważnie – prawdą jest, że mym pierwotnym zamierzeniem była nowela mająca za temat tylko statek z pielgrzymami – i nic więcej. Był to pomysł zupełnie uzasadniony. Napisałem kilka stron, które mnie z jakiegoś powodu nie zadowolily, i na pewien czas odłożyłem pracę. Nie wyjmowałem tych kartek z szuflady, póki mi nieżyjący już William Blackwood nie przypomniał, iż powinienem dać coś znowu do jego przeglądu.

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że epizod ze statkiem wiozącym pielgrzymów jest dobrym punktem wyjścia dla swobodnej, rozległej opowieści; że przy tym wypadek tego rodzaju mógłby z całym prawdopodobieństwem na całe życie zaważyć na „samopoczuciu” prostego i głęboko czującego człowieka. Ale z tych wszystkich przedwstępnych nastrojów i poruszeń ducha słabo zdawałem sobie wówczas sprawę, a i teraz nie wydaje mi się to jaśniejsze po upływie tylu lat.

Owych kilka kartek, które odłożyłem, nie były dla mnie bez znaczenia przy wyborze tematu. Lecz wszystko zostało z rozwagą napisane na nowo. Gdy zasiadłem do pracy, wiedziałem, że będzie to długa książka, choć nie sądziłem, że się rozciągnie aż na trzynaście numerów przeglądu.

Zapytywano mię nieraz, czy *Lord Jim* jest najulubieńszą mą książką. Jestem wielkim wrogiem wszelkiego faworyzowania tak w życiu publicznym, jak i prywatnym, a nawet w delikatnej dziedzinie stosunku autora do własnych dzieł. Z zasady nie chcę mieć ulubieńców; nie posuwam się jednak tak daleko, aby mię gryzło lub martwiło, gdy niektórzy dają pierwszeństwo *Lordowi Jimowi*. Nie powiedziałbym nawet, że „to jest dla mnie niezrozumiałe”... Nie! Jednakże raz usłyszałem coś, co zdumiało mnie i zaniepokoiło.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc we Włoszech, rozmawiał tam z pewną panią, której się *Lord Jim* nie podobał. Przykre to oczywiście, ale co mię zaskoczyło, to przyczyna jej niechęci do książki. „Wie pan – powiedziała – tam wszystko jest takie chorobliwe”.

Orzeczenie to dało mi materiał do niespokojnych rozmyślań na jaką godzinę. Doszedłem ostatecznie do wniosku, że wzięwszy nawet pod uwagę okoliczności łagodzące – bo sam temat jest raczej obcy dla przeciętnej kobiecej wrażliwości – owa pani nie mogła być Włoszką. Ciekaw jestem, czy była w ogóle Europejką. W każdym razie łaciński temperament nie mógłby dostrzec nic chorobliwego w dotkliwym poczuciu utraconego honoru. Takie poczucie może być słuszne albo niesłuszne, można je też potępić jako sztuczne; możliwe, iż ludzi podobnych do mego Jima często się nie spotyka. Ale mogę z czystym sumieniem zapewnić swych czytelników, że Jim nie jest owocem chłodnych spekulacji myślowych. Nie jest również wytworem północnych mgieł. Ujrzałem raz słonecznym rankiem, jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani – wzruszający, wymowny, tajemniczy... i niemy.

Takim właśnie powinien być mi się wydać. A do mnie już należało – z całym współczuciem, do jakiego byłem zdolny – znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty. Był to „jeden z nas”.

*J. C.*

## Rozdział pierwszy

Brakował mu cal – może dwa – do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy siedł prosto na kogoś, patrząc nieruchomo spode łba, z pochylonymi nieco plecami i wysuniętą głową, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, donośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było nic agresywnego. Zdawało się, że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nie tylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, ubrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako agent okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Agent nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką – żaglową, parową lub poruszaną za pomocą wiosł – z innymi agentami; chodzi o to, aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okrętu, nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę – anons dostawcy okrętowego – gdy zaś kapitan wysiadzie na brzeg, zaprowadzić go niepostrzeżenie, lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko, co czyni statek pięknym i zdolnym do podróży: zarówno w komplet haków linowych, jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szypra, choć go nigdy przedtem nie widział. Czekają tam na gościa chłodny gabinet, fotele, napoje, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztopia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, agent podtrzymuje przez codzienne odwiedziny nawiązane w ten sposób stosunki. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej uwagi, a odznacza się przy tym cierpliwością Joba, altruistycznym oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. Toteż dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy agent posiadający zdolność kombinowania ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebodawcy moc pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucał nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebodawcom, były oczywiście niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew”, z chwilą gdy się odwrócił do nich plecami. Takie było ich zdanie o niezmiernie wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był po prostu Jimem – i niczym więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniało. Incognito Jima – dziurawe jak rzeszoto – miało ukrywać nie człowieka, lecz fakt. Kiedy ów fakt wychodził na jaw, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował, i udawał się do innego – zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego agenta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt doganiał go nieodwołalnie, wcześniej lub później. I tak w ciągu lat znano Jima kolejno w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawii – i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, agentem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił na zawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli – gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności – przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognito. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał ową wiedzę o Niewiadomym, stworzoną dla bogobojnych mieszkańców chat i nie mącąca spokoju ducha tym, którym nieomylna Opatrzność pozwala mieszkać w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości

skąłę za postrzępioną zasłoną z gałęzi. Stał na tym miejscu już od stuleci, a drzewa wokół niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej jaśniał ciepłą barwą czerwony front probostwa wśród trawników, klombów i jodeł, z sadem od tyłu, brukowanym podwórzem na lewo i pochyłymi szybami oranżerii, wspierającymi się o ścianę z cegieł. Probostwo należało do rodziny już od pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacji – w czasie których naczytał się lekkiej literatury – ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go od razu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej”.

Nauczył się tam brasowania górnych rei i trochę trygonometrii. Lubiano go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przy tym bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Miał stanowisko manewrowe na marsie przedniego masztu. Patrzył stamtąd często w dół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojne skupisko dachów, przecięte na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej równiny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i zionął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach, sunące bez przerwy, małe czółenka hen, nisko pod stopami – a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, zawczasu przeżywając myślą życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnym morzu i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach – będąc zawsze wzorem obowiązkowości – niezłomny jak bohater z książki.

– Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieganinę i krzyki, a gdy Jim wy dostał się przez luk, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagął się już od południa, zatrzymując ruch na rzece, i dał teraz z siłą huraganu; jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikały, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne lecącej wody. Czuło się jakąś dziką celowość burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie, iż to wszystko zwraca się przeciw niemu, i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się, że go wir jakiś porwa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włązili tłumnie na balustradę, czepiali się gromadnie żurawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział”. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakiejś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy takielunek statku nucił głębokim, zdyszczanym basem pieśń o jego młodości na oceanie.

„Na dół kuter!” – Jim ujrzał łódź z ludźmi opadającą szybko, za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyc kuter!” Wychylił się za barierę. Rzeka wzdłuż statku wrzała pienistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr, które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim

usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równno, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równno!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wyłamując się spod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Za późno, chłopcze”. Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który – zdawało się – już, już skoczy za burtę. Chłopiec spojrział na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji”.

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napełniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi miotanymi po belkach dna. Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogrożkom. Teraz już wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Zdawało mu się, że burza nic a nic go nie obchodzi. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to – lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra – chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkimi szarymi oczami – był bohaterem dolnego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

– Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiąż w jego spodniach; myślałem, że wypadnę za burtę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Symons puścił ster i złapał mię za nogi – łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Symons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Klął na mnie przez cały czas, co mię trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi puścić bosaka. Stary Symons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!”, i przewracał oczami. Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdłał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdłał, gdyby go dziabnąć bosakiem? Ja bym tam nie zemdłał. Bosak wszedł mu w nogę – o tyle. – Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. – Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się łała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go zmienacka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go raczej, że się nie dostał do kutra, skoro pośledniejszy czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas – czuł to niezbitcie – on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych gróźb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Oglądane chłodnym okiem wydawały mu się godne wzgardy. Nie mógł już w sobie wykryć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim – nie zauważony przez nikogo i trzymający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków – rozkoszował się wzmożonym poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądzy przygód.

## Rozdział drugi

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał, że są dziwnie z przygód wyjąłowane. Odbił wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonię istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje chleb – i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go omijała. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa jak życie na morzu. Poza tym przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki; i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczywszy nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, uwydatniają prawdziwe cechy jego usposobienia i rdzeń charakteru, które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami – nie tylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przebłysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość – to coś nieokreślonego, co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splot wypadków lub furia żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą, z rozpętanym okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem; które chce zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić wszystko, co widział, znał, kochał, czym się cieszył, czego nienawidził, wszystko, co jest potrzebne i bezcenne – blask słońca, wspomnienia, przyszłość; które chce zmieść doszczętnie sprzed jego oczu cały drogocenny świat przez prosty i przerażający akt – przez zabranie mu życia.

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!”) Jim został ugodzony spadającą reją; spędził wiele dni leżąc na wznak, ogłuszony, poturbowany, pełen zwątpienia i udreki, jakby na dnie niespokojnej otchłani. Wszystko mu było jedno, jak się to skończy, a w chwilach przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; nie podsycana niczym wyobraźnia – wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy – układa się do spoczynku w duszy stępiejącej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko rozgardiasz w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam, przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu nieposkromiony napad trwogi chwycił go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kocami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napełniała go rozpaczliwą żądzą, aby się za wszelką cenę ocalić. Potem wróciła piękna pogoda i więcej już o tym nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał iść do szpitala. Wraczał do zdrowia bardzo powoli, przeto pozostawiono go w porcie.

Poza Jimem było tylko dwóch pacjentów w oddziale dla białych: płatnik z kanonierki, który złamał nogę spadłszy do luku, i jakiś niby dostawca kolejowy z sąsiedniej prowincji, dotknięty tajemniczą chorobą podzwrotnikową; uważał doktora za osła i oddawał się potajemnie leczeniu różnymi specyfikami, które jego służący, Tamil, przemycał z niezmordowanym poświęceniem. Pacjenci opowiadali sobie nawzajem historię swego życia, grali trochę w karty lub też, ubrani tylko w pidżamy, wylegiwali się całymi dniami na leżakach ziewając i nie mówiąc do siebie ani słowa. Szpital stał na wzgórzu; lekki powiew, wchodzący przez okna otwarte zawsze na oścież, niósł do pustych pokoi łagodność nieba, omdlałość ziemi, czarowny oddech wschodnich wód. Były w nim jakieś aromaty, zapowiedź bezgranicznego spoczynku, dar snutych bez końca marzeń. Jim spoglądał co dzień ponad gąszcz ogrodów, ponad dachy miasta i kępy palm rosnących na brzegu, na tę przystań,

która jest szlakiem na wschód, na przystań oświetloną radosnym słońcem – z wieńcem wysepek, z okrętami jak zabawki – wspaniałą i ruchliwą niby świąteczne widowisko pod wiecznie pogodnym niebem, pośród uśmiechniętego spokoju wschodnich mórz ogarniających przestrzeń aż do horyzontu.

Z chwilą gdy Jim mógł już chodzić bez laski, zeszedł do miasta i zaczął szukać jakiejś okazji, aby wrócić do kraju. Nic mu się wówczas nie nastęczyło, czekał więc obcując, naturalnie, w porcie z ludźmi swego zawodu. Dzielili się oni na dwa rodzaje. Jedni, bardzo nieliczni i rzadko tam widywani, wiedli tajemniczy żywot, odznaczali się nieposkromioną energią, temperamentem korsarzy i mieli marzycielskie oczy. Żyli jak gdyby w obłąkanym labiryncie planów, nadziei, niebezpieczeństw przedsięwzięć, w awangardzie cywilizacji, wśród mało znanych zakątków morza; śmierć była w ich fantastycznych egzystencjach jedynym wydarzeniem, które się wydawało dorzeczne i pewne. Przeważnie byli to ludzie rzućeni tam przez przypadek – jak Jim – którzy pozostali na miejscu w charakterze oficerów na statkach krajowych. Mieli wstręt do służby na okrętach europejskich, w trudniejszych warunkach, służby nacechowanej surowszym pojęciem obowiązku, grożącej ryzykiem burzliwych przepraw przez oceany. Zestroili się z wiecznym spokojem wschodniego nieba i mórz. Lubowali się w krótkich podróżach, wygodnych leżakach na pokładzie, licznych załogach złożonych z krajowców i wyróżnieniu, które należy się białym. Myśl o ciężkiej pracy przejmowała ich dreszczem; wiedli wygodne życie z dnia na dzień, gotowi zawsze rzucić jeden statek i przenieść się na drugi, służąc Chińczykom, Arabom, Metysom – byliby służyli chętnie i diabłu, gdyby dał im dość wygodne warunki. Rozmawiali bez ustanku o przeróżnych szczęśliwych zdarzeniach; jak to taki a taki został kapitanem statku na chińskim wybrzeżu – świetna służba; temu znów trafiło się dogodne miejsce gdzieś w Japonii, a tamtemu powodzi się świetnie w syjamskiej marynarce; we wszystkim zaś, co mówili – w ich czynach, w ich wyglądzie, w ich osobach – można było wykryć jakieś słabe miejsce, znamię upadku, upartą chęć, aby przeproźnować życie w spokoju.

Ta plotkująca czereda, oglądana oczyma marynarza, wydała się zrazu bardziej nierealna od zbiorowiska cieni. Ale z czasem urzekł Jima widok tych ludzi, którym zdawało się tak dobrze powodzić, choć narażali się w bardzo małym stopniu na niebezpieczeństwo i ciężką pracę. Obok pierwotnej pogardy rozwinęło się z wolna w Jimie inne uczucie; i nagle, zaniechawszy powrotu do kraju, zaciągnął się jako główny oficer na statek „Patna”.

„Patna” był to miejscowy parowiec, stary jak świat, smukły jak chart i bardziej zżarty przez rdzę od wysłużonej kadzi żelaznej. Właścicielem „Patny” był Chińczyk, dzierżawcą Arab, a dowodził nią pewien Niemiec, renegat z Nowej Południowej Walii, bardzo pochopny do publicznego wymyślenia na swój kraj rodzinny; miał fioletowy nos i rude wąsy, a wzorował się widać na zwycięskiej polityce Bismarcka, gdyż obchodził się brutalnie ze wszystkimi, których się nie bał, przybierając krwiożercze miny. „Patna” została pomalowana z zewnątrz i wybielona od środka, po czym wtłoczono na jej pokład ośmiuset pielgrzymów, gdy stała pod parą u drewnianego mola.

Pielgrzymi sunęli na pokład trzema schodniami, nagleni wiarą i nadzieją rajy, wśród nieustannego tupotu i szmeru bosych nóg, bez słowa, bez szeptu, nie oglądając się za siebie; wydostawszy się spomiędzy barier rozlewali się na wszystkie strony po pokładzie, ku przodowi i ku rufie, spływali w dół w ziejące luki, zapełniali wewnętrzne zakamarki statku – jak woda, która napełnia cysternę, sączy się w szpary, szczeliny i wzbiera cicho aż po brzegi. Ośmiuset mężczyzn i kobiet, żywiących wiarę i nadzieję, przywiązania i wspomnienia, zebrało się tam, przybywszy z północy, południa i krańców wschodu, wędrując ścieżkami przez dżunglę, płynąc z biegiem rzek, sunąc wzdłuż mielizn na krajowych statkach, przeprawiając się w drobnych czółenkach od wyspy do wyspy, przechodząc różne udręki, patrząc na dziwne rzeczy, pozostając we władzy dziwnych obaw – a wszystkich podtrzymywało jedno pragnienie. Przybyli z samotnych chat stojących wśród puszczy, z ludnych *kampungów*<sup>1</sup>, z nadbrzeżnych morskich wiosek. Na zew jednej idei opuścili swe lasy, polanki, opiekę swych władców, swój dobrobyt, swą biedę, krainę swej młodości

<sup>1</sup> *kampung* (mal.) – wieś, osada. [przypis edytorski]

i groby ojców. Przybyli okryci pyłem, potem, brudem, łachmanami – mężczyźni w sile wieku na czele rodzin, wychudli starcy dążący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy o nieulekłych oczach, rozglądający się ciekawie, trwożliwe dziewczątka o długich, poplątanych włosach, nieśmiałe, zakwefione kobiety, które cisnęły do piersi uśpione niemowlęta, okutane w luźne końce zbrukanych zasłon – nieświadomi pielgrzymi, posłuszni surowym wymaganiom swej wiary.

– Popatrz pan na to bydło – rzekł Niemiec, szyper, do swego nowego oficera.

Arab, przywódca pobożnych podróżników, zjawił się na ostatku. Wkroczył z wolna na pokład, piękny i pełen powagi, w białej szacie i wielkim turbanie. Za nim postępował rząd sług obładowanych jego bagażem; „Patna” odcumowała i cofnęła się od wybrzeża.

Skierowawszy się między dwie małe wysepki przecięła na ukos kotwowisko dla żaglowców, zakreśliła półkole w cieniu wzgórza i przesunęła się tuż koło raf otoczonych pianą. Arab powstał ze swego miejsca na rufie i począł odmawiać głośno modlitwę dla podróżujących po morzu. Wzywał łaski Najwyższego dla pielgrzymki błagając Go, aby pobłogosławił znój ludzki i tajne zamysły serc; parowiec pruł w mroku spokojną wodę cieśniny – a hen w tyle za okrętem latarnia morska, umieszczona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrugać na „Patnę” płomiennym okiem, jakby szydząc z jej wyprawy, natchnionej wiarą.

Statek przebył cieśninę, minął zatokę i płynął dalej w swą drogę przez przesmyk „Onedegree”. Sunął wprost na Morze Czerwone pod pogodnym niebem, pod niebem palącym i nie osłoniętym chmurami, obleczonym w słoneczny blask, który zabijał myśl wszelką, uciskał serce, wypalał wszystkie porywy siły i energii. A pod ponurą wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie leżało spokojnie, bez ruchu, bez szmeru, bez zmarszczki – kleiste, bezwładne, martwe. „Patna” sunęła z lekkim sykiem tą świetlistą, gładką równiną i rozwijała po niebie czarną wstęgę dymu, zostawiając za sobą na wodzie białą wstęgę piany, która znikwała natychmiast jak widmo szlaku kreślone na martwym morzu przez widmo parowca.

Każdego rana słońce, jakby dotrzymując w swych obrotach kroku sunącej naprzód pielgrzymce, wyłaniało się z bezgłośnym wybuchem światła ściśle w tej samej odległości za rufą statku, dopędzało go o południu, lejąc skupiony żar promieni na pobożne ludzkie zamysły, mijało „Patnę” i tocząc się w dół, znikowało tajemniczo w morzu wieczór za wieczorem, zawsze w tej samej odległości od sunącego naprzód dziobu.

Pięciu białych znajdujących się na statku mieszkało na śródkrećciu, z dala od ludzkiego ładunku. Płócienna zasłona okrywała pokład białym dachem od dziobu do rufy i tylko słaby szmer, stłumiony gwar smutnych głosów, zdradzał obecność tłumu ludzi na wielkiej jasności oceanu. Tak upływały dni ciche, upalne, o ciężałe, zapadając jeden za drugim w przeszłość, niby w otchłań otwartą zawsze na szlaku okrętu; a „Patna”, samotna pod pasmem dymu, dążyła wytrwale w swą drogę, czarna i dymiąca wśród świetlistej nieskończoności, jakby spalona przez płomień sypiące się z bezlitosnego nieba.

Noce zstępowały na nią jak błogosławieństwo.

## Rozdział trzeci

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się słać na ziemię nie tylko pogodę swych promieni, ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka, niby płyta lodu, słało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokregu. Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron „Patny” dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostymi, rozchodzącymi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzbudzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu; po czym uspokajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w cichość nieba i wody otaczającą w krąg czarną plamkę sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim stojąc na mostku płał w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kocach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach, zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne łachmany, z głowami wspartymi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętymi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia – wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci.

Lekki powiew ciągnący od przodu, wywołany biegiem parowca, niósł się spokojnie przez długą mroczną przestrzeń między wysokimi nadburciami i muskał rzędy wyciągniętych ciał; kilka przyćmionych płomieni w latarniach wisiało na krótkich linkach tu i tam u poprzeczek płóciennego dachu, a w mętnych kręgach światła, drgających z lekka w rytm nieustannej wibracji statku, ukazywały się czyjeś zamknięte powieki, zadarta broda, ciemna ręka z srebrnymi pierścieniami, chude członki owinięte w podarte nakrycie, głowa odchylona w tył, goła stopa, szyja naga i wyprężona, jakby podająca się pod nóż. Zamożni urządzili dla swych rodzin schronienia z ciężkich skrzyń i zakurzonych mat; ubodzy spoczywali rzędem obok siebie, wspierając głowę na całym swym ziemskim dobytku, zawiniętym w gałgany; samotni starcy spali, podciągnawszy nogi, na modlitewnych dywanach, z rękoma na uszach i łokciami po obu stronach twarzy; jakiś ojciec wsunął głowę w ramiona i zgnębiony, oparł czoło na kolanach, drżąc obok chłopca, który spał na wznak ze skołtunioną czupryną i ręką wyciągniętą nakazująco; kobieta, okryta od stóp do głów białym prześcieradłem – niby trup – trzymała po nagim dziecku w zgięciu każdego ramienia; pakunki Araba, spiętrzone po prawej stronie rufy, tworzyły przysadzisty kopiec o łamanych liniach; nad nimi wisiała latarnia, a w głębi majaczyły przeróżne niewyraźne kształty: połyskliwe brzuchy mosiężnych naczyń, podnózek od leżaka, ostrze włóczni, prosta pochwa starego miecza oparta o stos po duszek, dziób cynowego dzbanka do kawy.  $\log^2$  na tylnej barierze wydzwaniał miarowo jedno dźwięczne uderzenie za każdą milą przebytą w wędrówce nakazanej przez wiarę. Nad ciżbą śpiących przepływało niekiedy nikłe i cierpliwe westchnienie wyzionięte wśród zmaconego snu; a krótkie metaliczne dźwięki, rozlegające się nagle w głębiach statku – ostry zgrzyt szuflki, gwałtowne trzaśnięcie drzwiczkami od paleniska – wybuchały brutalnie, jakby ludzie obcujący z tajemniczymi przedmiotami tam w dole, żywili dziki gniew w piersi; zaś smukły, wysoki kadłub parowca sunął równo naprzód, bez najlżejszego kołysania się nagich masztów, prując nieustannie wielki spokój wód pod niedostępnym spokojem nieba.

<sup>2</sup> *log* – przyrząd nawigacyjny do pomiaru przebytej drogi i prędkości statku. [przypis edytorski]

Jim spacerował w poprzek mostka, a własne kroki rozbrzmiewały mu głośno w uszach wśród wielkiej ciszy, jakby odbite przez czujne gwiazdy; jego oczy błędzące po linii horyzontu zdawały się sięgać chciwie za czymś niedościgłym i nie dostrzegły cienia zbliżającego się wypadku. Jedyne cienie na morzu padały od czarnego dymu buchającego wciąż ciężko z komina olbrzymią chorągwią, której koniec rozplywał się ustawicznie w powietrzu. Dwaj Malaje, niemi i prawie nieruchomi, sterowali stojąc z dwóch stron koła, którego mosiężny brzeg połyskiwał częściowo w owalu światła padającego od pokrywy kompasu. Niekiedy ręka o czarnych palcach, puszczając i chwytając kolejno obracające się szprychy, ukazywała się na oświetlonej części koła; ogniwa łańcucha zgrzytały głośno w rowkach rury sterowej. Jim rzucał wzrokiem na kompas, potem rozglądał się wkoło po niedościgłym widnokregu, przeciągał się, aż stawy trzeszczały, przeginając się leniwie od nadmiernego wprost poczucia błogości; i – jakby rozzuchwalony widokiem niewzruszonego spokoju – czuł, że nie dba o nic, co by go mogło spotkać aż do końca jego dni. Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przymocowaną czterema pluskiewkami do niskiego stolika o trzech nogach, stojącego za osprzętem sterowym. Arkusz papieru, odtwarzający morskie głębie, rozpościerał się jaśniejącą powierzchnią pod światłem ślepej latarki przywiązanej do stojaka – powierzchnią poziomą i równą jak połyskliwa gładź wód. Na mapie spoczywały linijki nawigacyjne i cyrkiel; położenie statku w południe było oznaczone małym czarnym krzyżykiem, a prosta linia, nakreślona pewną ręką aż do Perimu, odtwarzała kurs – szlak dusz dążących ku świętemu miejscu, ku obietnicy zbawienia, nagrodzie wiecznego życia – ołówek zaś, oparty ostrym końcem o wybrzeże Somali, leżał okrągły i nieruchomy jak nagi maszt w basenie zamkniętego doku.

„Jak my spokojnie suniemy” – pomyślał Jim z podziwem, z czymś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepelnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem – bezgraniczną wiarą w siebie. Nie ma nic, czemu by nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć w tył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil okrętu, jak prosta była czarna linia narysowana ołówkiem na mapie.

Wiadra do popiołu hałasowały, przesuwane tam i z powrotem przez wentylatory palarni, a ten metaliczny dźwięk ostrzegał Jima, iż koniec jego wachty się zbliża. Westchnął z zadowoleniem, a zarazem z żalem, że będzie musiał się rozstać z tą pogodą, która sprzyjała awanturniczej swobodzie jego myśli. Był przy tym trochę śpiący i czuł, jak przyjemna omdlałość ogarnia wszystkie jego członki; zdawało mu się, iż cała krew w jego ciele przemienia się w ciepłe mleko. Szyper zjawił się bezszelestnie na mostku w pidżamie rozchełstanej szeroko na piersiach. Był na wpół rozbudzony; twarz miał czerwoną, lewe oko częściowo zamknięte, prawe idiotycznie wybałuszone i szkliste; zwiesił wielką głowę nad mapą i drapał się ospale po żebrach. Było coś plugawego w widoku jego nagiego ciała. Obnażone, pulchne piersi połyskiwały tłustością, jakby we śnie wypocił z siebie całe sadło. Wypowiedział jakąś zawodową uwagę głosem chrapliwym i głuchym, podobnym do chrapiącego dźwięku piły trącej o krawędź deski; fałda podwójnego podbródka zwisała mu jak worek przywiązany tuż pod zawiasami szczęk. Jim drgnął, a jego odpowiedź pełna była szacunku, lecz wstrętne opasła postać – jakby ujrzana po raz pierwszy w chwili objawienia – wyrwała się na zawsze w jego pamięci niby wcielenie wszelakiej nikczemności i podłoty, czających się w ukochanym przez nas świecie; bowiem w głębi ducha ufamy, że nasze zbawienie leży w ludziach, którzy nas otaczają, we wszystkim, na co patrzą nasze oczy, w dźwiękach, które napełniają nam uszy, i w powietrzu wchłanianym przez nasze płuca.

Cienki, złoty wiórek księżyca spływał powoli, aż się zatracił w ściemniałej powierzchni wód, a wieczność poza niebem zdawała się do ziemi przybliżać ze wzmocnionym lśnieniem gwiazd i mrokiem, który się pogłębił w połyskliwej, na wpół przejrzystej kopule okrywającej płaską tarczę

matowego morza. Parowiec płynął tak gładko, że ludzkie zmysły nie mogły uchwycić jego ruchu, jakby był zaludnioną szczelnie planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, wśród groźnych i spokojnych pustkowi oczekujących na tchnienie przyszłych aktów stworzenia.

– Strach, co tam za upał na dole – rzekł jakiś głos.

Jim uśmiechnął się, ale nie obejrzał. Rozłożyste plecy szypra ani drgnęły; należało to do sztuczek renegata, że ignorował ostentacyjnie czyjaś obecność, jeśli nie uznał za stosowne zwrócić się do tego kogoś, zmierzyć go wściekłym spojrzeniem i zalać spienionym potokiem obelżywego żargonu, który tryskał jak ze ścieku. Teraz szyper ograniczył się do kwaśnego mruknięcia; a pomocnik mechanika u szczytu schodów mostka, miętosząc w wilgotnych dłoniach brudny gałgan do obcierania potu, wylewał w dalszym ciągu swoje żale, bynajmniej nie onieśmielony. Tu na górze dobrze się marynarzom powodzi i niech go kaczkę zdepczą, jeśli wie, po co ci marynarze są w ogóle na świecie. Mechanicy, nieboraki, muszą tak czy owak statek w ruch wprawiać, a przecież mogliby sobie poradzić doskonale i z resztą roboty; „jeszcze i jak, do jasnej cholery”...

– Stulić pysk – mruknął flegmatycznie Niemiec.

– Właśnie! Stulić pysk – a kiedy coś nie w porządku, to pędzicie do nas, prawda? – ciągnął tamten. I żalił się dalej, że jest na wpół ugotowany; ale za to teraz wszystko mu jedno, ile grzechów ma na sumieniu, bo przez te ostatnie trzy dni przeszedł porządny kurs wstępny do tego miejsca, dokąd źli ludzie idą po śmierci – porządny, bo porządny, żeby tak zdrow był – a w dodatku jeszcze ogłuchł jak pień od cholerycznego hałasu na dole. To podłe, przekłete, zgniłe pudło, ten stary skraplacz, skrzypi tam i hałasuje jak stara winda pokładowa albo i jeszcze gorzej; a z jakiego powodu on, mechanik, naraża życie każdej nocy i każdego dnia – na gruchocie, który nadaje się tylko na złom i robi pięćdziesiąt siedem obrotów na minutę – tego wyjaśnić nie potrafi. Widać już się taki nieustraszony urodził, do jasnej cholery. Widać...

– Skądś pan wódkę wytrzasnął? – spytał Niemiec, bardzo wściekły, lecz nieruchomy, w świetle padającym od szafki z busołą, jak niezgrabny wizerunek człowieka ulepiony z bryły tłuszczu. Jim wciąż się uśmiechał ku cofającemu się widnokręgowi; serce miał pełne szlachetnych porywów, a w myśli rozważał swą wyższość.

– Wódkę! – powtórzył mechanik z uprzejmą pogardą; jego ciemna postać, chwiejąca się na nogach, czepiała się oburącz bariery. – Nie od pana, panie kapitanie. Pan jest na to o wiele za skąpy, do jasnej cholery. Porządny człowiek skończyłby u pańskich nóg, a nie dostałby ani kropli sznapsa. Wy, Niemcy, nazywacie to oszczędnością. Oszczędzacie pensy, a wyrzucacie za okno tysiące. – Mechanik stał się sentymentalny. Szef dał mu wypić naparstek tak około dziesiątej – „jeden jedyny, żebym tak zdrow był!”. Pocziwy starowina; ale gdyby przyszło wyciągać z koi tego starego franta, nawet pięciotonowy żuraw nic by nie poradził. Nie ma gadania. A w każdym razie nie dzisiaj. Szef śpi słodko jak małe dzieciątko, z butelką wyborowej wódki pod poduszką.

Z grubego gardła kapitana wydarł się niski pomruk, w którym dźwięk słowa *Schwein*<sup>3</sup> przebijał się to nisko, to wysoko, jak kapryśne piórko w nikłym powiewie. Kapitan i główny mechanik byli kamratami już od dobrych kilku lat; służyli u tego samego jowialnego, podstępnego starego Chińczyka, noszącego okulary w rogowej oprawie i czerwone jedwabne tasiemki wplecione w czcigodne siwe włosy warkocza. Nadbrzeżna fama w ojczystym porcie „Patny” głosiła, że ci dwaj – w zakresie bezczelnych sprzeniewierzeń – „dokonali razem mniej więcej wszystkiego, co się tylko da pomyśleć”. Na oko źle byli dobrani; jeden miał tępe, złe oczy i opasłe ciało o miękkich liniach; drugi był chudy, cały we wklęsłościach – o głowie długiej i kościstej niby u starej szkapy, o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach i obojętnym, szklistym spojrzeniu zapadłych oczu. Wyrzucono go gdzieś na wschodnim wybrzeżu – w Kantonie, Szanghaju, a może i Jokohamie; prawdopodobnie nie zależało mu na tym, aby pamiętać dokładnie ową miejscowość ani też powód swej katastrofy. Ze względu na jego młody wiek wyłano go po prostu z okrętu dwadzieścia lat temu lub więcej,

---

<sup>3</sup> *Schwein* (niem.) – świnia. [przypis edytorski]

a mogło się to dla niego o tyle gorzej skończyć, że wspominając ów epizod nie uważał go właściwie za nieszczęście. Potem, gdy żegluga parowa rozwinęła się na tych morzach i ludzie jego fachu z początku trafiali się rzadko, powiodło mu się w pewnym znaczeniu. Miał zwyczaj skwapliwie informować obcych ponurym szeptem, że „zna te strony jak własną kieszeń”. Przy każdym ruchu tego człowieka zdawało się, że kościotrup kołacze się w jego ubraniu; zamiast chodzić wałęsał się po prostu, a miał zwyczaj wałęsać się tak bez ustanku po maszynowni naokoło luku świetlnego. Palił przy tym bez przyjemności fałszowany tytoń w miedzianej czarce na końcu wiśniowego cybucha długości czterech stóp, z głupkowatą powagą myśliciela wywodzącego system filozoficzny z mglistych przeblysków jakiejś prawdy. Zazwyczaj daleki był od szafowania swym prywatnym zapasem alkoholu; ale owej nocy odstąpił od tej zasady, tak że jego pomocnik, głupkowaty syn Wappingu<sup>4</sup>, zaskoczony nieoczekiwanym poczęstunkiem i mocą alkoholu, stał się bardzo szczęśliwy, bezczelny i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walii była niezmierna; sapał jak miech, a Jim, ubawiony nieco tą sceną, oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy będzie się mógł znaleźć na dole; ostatnie dziesięć minut wachty były irytujące jak działo, które się ociąga z wystrzałem. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, ale niezłe z nich były chłopcy. Nawet sam szyper... Obrzydzenie zdjęło Jima na widok tej bryły dyszącego ciała, z której wydobywały się gardłowe pomruki – mętny strumyczek niechlujnych wyrażań: lecz błoga ospałość zanadto nim owładnęła, aby się mógł zdobyć na czynną antypatię w stosunku do czegokolwiek. Poziom tych ludzi był mu obojętny; ocierał się o nich, ale nic go nie obchodzili; oddychali tym samym powietrzem, lecz on był zupełnie inny... Czy też szyper rzuci się na mechanika?... Życie jest łatwe, a Jim taki jest pewien siebie – zanadto pewien siebie, aby... Granica dzieląca jego rozmyślanie od potajemnej drzemki na stojąco była cieńsza od nitki pajęczej.

Pomocnik mechanika, zmieniając temat z łatwością, jął rozpatrywać swą materialną pozycję i swą odwagę.

– Kto jest pijany? Ja? Nie, nie, panie kapitanie! Nic podobnego. Powinien pan przecie już wiedzieć, że szef zanadto jest skąpy, aby spoić nawet wróbla, do jasnej cholery. Nigdy w życiu nie byłem wstawiony; nie wynaleziono jeszcze trunku, który by *mnie* spoił. Mogę pić płynny ogień, a pan będzie pił to wasze whisky – ja kieliszek, pan kieliszek – i pozostanę chłodny jak lód. Gdybym myślał, że jestem pijany, skoczyłbym za burtę i byłby koniec ze mną, do jasnej cholery. Tak! Od razu! A z mostka nie zejść. Gdzież pan chce, żebym odetchnął świeżym powietrzem w taką noc jak dzisiejsza, co? Na pokładzie, wśród tego robactwa? To akurat do mnie podobne! Nie boję się pana – co mi pan może zrobić!

Niemiec podniósł ku niebu dwie ciężkie pięści i potrzęsął nimi z lekka, bez słowa.

– Ja nie wiem, co to strach – ciągnął mechanik z zapalem i szczerym przekonaniem. – Nie boję się całej tej, psiamac, roboty na tym zgniłym pudle, do jasnej cholery! A jaka to dla was gratka, że są na świecie tacy ludzie jak my, co nie drżą o swoją skórę – bo gdyby nie to, ładnie byście wyglądali – i pan, i ten tu stary gruchot, co ma obicie jak z szarego papieru – zupełnie jak z szarego papieru, żebym tak zdrow był. Panu to dobrze – wyciąga pan ze statku moc pieniędzy na wszystkie sposoby; a ja – co ja dostaję? Parszywe sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc – i to bez utrzymania. Pytam ja się pana z całym szacunkiem, uważa pan, z szacunkiem – kto by nie kopnął takiej podłej roboty? Człowiek nadstawia karku, żebym tak zdrow był, oj, nadstawia! Tylko że ja to jestem chłop nieustraszony...

Puścił barierę i wykonywał szerokie gesty, jak gdyby demonstrując w powietrzu kształt i objętość swej odwagi; jego piskliwy głos sunął w przeciągłych skrzekach nad morzem. Chwilami robił krok naprzód lub się cofał dla lepszego uwydatnienia swych słów i nagle rymnął głową w dół, jakby go palnął kto z tyłu. „Psiakrew!” – mruknął padając; chwila ciszy nastąpiła po jego gadaniu; i Jim, i szyper potknęli się jednocześnie: odzyskawszy równowagę stali bardzo sztywno, patrząc wciąż w zdumieniu na niezamąconą gładkość morza. Potem spojrzeli w górę na gwiazdy.

<sup>4</sup> *Wapping* – osiedle we wsch. części Londynu, dawniej dzielnica portowa. [przypis edytorski]

Co to się stało? Maszyny dudniły i sapały bez przerwy. Czy ziemia zatrzymała się w biegu? Nie mogli nic zrozumieć; i nagle spokojne morze, niebo bez jednej chmurki wydały im się straszliwie niepewne w swym bezruchu, jak gdyby się ważyły nad krawędzią ziejącej zatury. Maszynista zerwał się na równe nogi i opadł znów jak bezkształtna masa; dobiegło z niej stłumione pytanie pełne głębokiej troski: „Cóż to znowu?” Przebrzmiał z wolna słaby odgłos niby grzmotu, niezmiernie odległego grzmotu – czegoś, co było słabsze od dźwięku i zaledwie mocniejsze od drgnienia – a statek zadrżał w odpowiedzi, jakby ów grzmot zawarczał gdzieś w głębi wody. Oczy Malajów ukoła błysnęły ku białym, lecz ciemne ich ręce pozostały zamknięte na szprychach. Zdawało się, że ściły kadłub, sunący w swą drogę, podnosi się kolejno o parę cali przez całą długość – jakby się stał giętki – po czym osiadł znów sztywno, wracając do pracy, i w dalszym ciągu pruł gładką powierzchnię morza. Drżenie kadłuba uspokoiło się, a nikły odgłos grzmotu nagle ustał, jakby statek przebył wąski pas rozedrganej wody i dudniącego powietrza.

## Rozdział czwarty

Mniej więcej w miesiąc później, gdy Jim odpowiadał na rzeczowe pytania, usiłując powiedzieć uczciwie prawdę o tym, co wówczas przeżył, wyraził się mówiąc o statku:

– Przesunął się przez to coś tak łatwo jak wąż pełznący przez kij.

Porównanie było dobre; pytania dotyczyły faktów, a działo się to podczas urzędowego dochodzenia w sądzie do spraw karnych pewnego wschodniego portu. Jim stał z rozpalonymi policzkami na podwyższeniu przeznaczonym dla świadków, w chłodnej, wysokiej sali; wielkie ramy do *punkah*<sup>5</sup> poruszały się łagodnie tam i z powrotem wysoko nad jego głową, a z dołu wiele oczu patrzyło na niego z ciemnych twarzy, z białych twarzy, z czerwonych twarzy, z twarzy uważnych, urzeczonych, jak gdyby wszyscy ci ludzie siedzący karnymi rzędami na wąskich ławkach byli spętani czarem jego głosu. A głos ten, bardzo donośny, brzmiał przerażająco w uszach Jima; był to jedyny głos słyszalny na świecie, bo okropnie wyraźne pytania, które wydzierały mu odpowiedzi, zdawały się kształtować same przez się w jego własnej piersi wśród udręki i bólu, a docierały do niego, dotkliwe i ciche, jak straszne pytania zadane przez sumienie. Na dworze jaśniało słońce – na sali sądowej był wiatr od wielkich *punkah*, który przejmował dreszczem, był wstyd, który palił ogniem, były uważne oczy, których wzrok przeszywał na wskroś. Wygolona twarz sędziego patrzyła niewzruszenie na Jima, śmiertelnie blada między czerwonymi twarzami dwóch asesorów. Światło padało z góry, od szerokiego okna pod sufitem, na głowy i plecy trzech ludzi, którzy rysowali się z okrutną wyrazistością w półcieniu wielkiej sali sądowej, publiczność zaś składała się jakby ze spokojnych, zapatrzonych cieni. Żądali faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cośkolwiek wytłumaczyć!

– Kiedy pan doszedł do wniosku, żeście się zderzyli z czymś pływającym po wodzie, powiedzmy z zalanym wodą wrakiem, dostał pan rozkaz od kapitana, aby pójść na dziób i upewnić się, czy statek nie został uszkodzony. Czy pan uważał to za możliwe, sądząc po sile zderzenia? – zapytał asesor siedzący z lewej strony. Miał rzadką brodę w kształcie podkowy i wystające kości policzków; oparłszy oba łokcie na biurku, splótł kosmate ręce przed twarzą, patrząc w zamyśleniu na Jima niebieskimi oczami; drugi zaś, tęgi mężczyzna o pogardliwym obliczu, oparty o tylną poręcz krzesła, wyciągnął lewą rękę i bębnił leciutko końcami palców po suszce. Pośrodku siedział w obszernym fotelu wyprostowany sędzia przechyliwszy nieco głowę i skrzyżowawszy ramiona na piersiach; kilka kwiatów w szklanym wazonie stało obok jego kałamarza.

– Nie, nie spodziewałem się tego – rzekł Jim. – Powiedziano mi, abym nikogo nie wołał i nie robił hałasu, żeby nie wzniecić paniki. Uznałem te ostrożności za słuszne. Wziąłem jedną z lamp, które wisiały pod płóciennym dachem, i poszedłem naprzód. Kiedy otworzyłem luk dziobowego skrajnika, usłyszałem plusk tam w środku. Wówczas spuściłem lampę na całą długość liny i zobaczyłem, że w dziobowym skrajniku woda sięga wyżej niż do połowy. Wtedy już wiedziałem, że musi tam być wielka dziura pod linią wodną. – Umilkł na chwilę.

– Tak – powiedział olbrzymi asesor uśmiechając się z rozmarzeniem do suszki; przebierał nieustannie palcami dotykając bezgłośnie bibuły.

– Nie myślałem wówczas o niebezpieczeństwie. Może byłem trochę zaskoczony tym wszystkim; stało się to tak spokojnie i tak bardzo nagle. Wiedziałem, że nie ma innej grodzi na statku prócz grodzi zderzeniowej, oddzielającej skrajnik dziobowy od wnętrza przedniego. Wróciłem, aby zawiadomić o tym kapitana. Natknąłem się na drugiego mechanika, który dźwigał się na nogi u stóp schodków mostkowych; wyglądał na ogłuszonego i powiedział mi, że złamał chyba lewą rękę;

---

<sup>5</sup> *punkah* a. *pankhā* – duży wachlarz z rozpiętego na ramie liścia palmy, piór lub materiału, używany w płd. Azji do wentylacji pomieszczeń. [przypis edytorski]

schodząc ze schodków obsunął się z górnego stopnia, gdy ja byłem na dziobie. Wykrzyknął: „Wielki Boże! Zgniła gródź ustąpi lada chwila i ten parszywy gruchot pójdzie z nami na dno, jak kamień”.

Odepchnął mię prawą ręką i krzycząc wbiegł przede mną po schodkach. Lewa ręka zwisała mu u boku. Szedłem tuż za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił go na plecy. Nie uderzył go jednak; stał nad nim pochylony i mówił coś z gniewem, lecz zupełnie cicho. Pewnie pytał go, czemu, u diabła, nie pójdzie i nie zatrzyma maszyn zamiast drzeć się na cały pokład. Słyszałem, jak powiedział: „Wstawaj pan! Biegnij! Leć!” Kłął przy tym. Mechanik zsunął się po prawostronnych schodkach i obiegił wkoło luku świetlnego ku zejściu do maszynowni, które znajdowało się po lewej stronie. Biegł i jęczał...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystko w mig, z niezmierną wyrazistością; byłby mógł odtworzyć jak echo jęk mechanika dla lepszego poinformowania tych ludzi, którzy żądali faktów. Z początku bunt go ogarnął, ale potem doszedł do przekonania, że tylko drobiazgowa dokładność zeznań uwydatni prawdziwą grozę kryjącą się za okropnymi pozorami. Fakty, których ci ludzie tak pożąдали, były widoczne, dotykalne, dostępne dla zmysłów i zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie; wydarzyły się na tysiącsterystatonowym parowcu w ciągu dwudziestu siedmiu minut wachty; składały się na całość mającą pewien charakter, subtelną wyrazistość, wygląd skomplikowany, który oko mogło zapamiętać – ale było tam coś jeszcze poza tym, coś niewidzialnego, jakiś władczy duch zagłady tkwiący wewnątrz jak nieprzyjazna dusza w obmierzłym ciele. Jim starał się usilnie to wszystko wyjaśnić. Nie była to zwykła historia, każdy jej szczegół miał wagę pierwszorzędną, a Jim na szczęście pamiętał wszystko. Pragnął mówić o tym wszystkim ze względu na prawdę, a może też i ze względu na siebie samego; i podczas gdy cedził rozważnie wyrazy, jego myśli po prostu latały i latały naokoło zacieśnionego kręgu faktów, co się wyłoniły odcinając go od reszty ludzi; był jak stworzenie uwięzione w ogrodzeniu z wysokich pali, które objęły się w krąg, oszalałe wśród nocy, usiłując znaleźć jakieś słabsze miejsce, szparę, nierówności, po których można by się wdrapać, jakiś otwór pozwalający się precyzyjnie i uciec. Ta okropna ruchliwość umysłu sprawiała, że chwilami Jim ociągał się mówiąc.

– Kapitan wciąż chodził po mostku tam i z powrotem; wydawał się dosyć spokojny, tylko potknął się kilkakrotnie; a raz, kiedym stał i mówił do niego, wszedł wprost na mnie, jakby był zupełnie ślepy. Nie odrzekł nic konkretnego na wszystko, co musiałem mu powiedzieć. Mruczał coś pod nosem; zrozumiałem z tego tylko parę słów; zdaje mi się, że powiedział: „ta, psiakrew, para!” i „przekłeta para!” – coś o parze. Przyszło mi na myśl...

Jim zaczął odbiegać od tematu; rzeczowe pytanie przecięło mu mowę jak skurcz bólu. Poczul się niezmiernie znużony i zniechęcony. Już, już miał to na końcu języka, a teraz, zatrzymany brutalnie, musiał odpowiedzieć: tak lub nie. Odrzekł szczerze i krótko: „Tak”. Stał wyprostowany na podwyższeniu – wysoki, okazały, o jasnej twarzy i młodzieńczych, posępnych oczach – a dusza wiła się w nim po prostu. Odpowiedział jeszcze na jedno pytanie, takie bardzo rzeczowe i takie zbyteczne, po czym znów czekał. W ustach miał to suchość bez smaku, jak gdyby najadł się kurzu, to znowu słoność i gorycz, niby po napiciu się morskiej wody. Obtarł wilgotne czoło, przesunął językiem po spiekłych wargach i poczuł dreszcz przebiegający mu po grzbiecie. Tęgi asesora opuścił powieki i bębnił bezgłośnie palcami, obojętny i ponury; oczy drugiego zdawały się jaśnieć życzliwością sponad splecionych rąk, spalonych przez słońce; sędzia pochylił się naprzód, jego blada twarz unosiła się nad kwiatami, wreszcie osunął się bokiem na poręcz fotela i oparł skroń na rękę. Wiatr sphywał od *punkah*, wirując na głowy, na ciemne twarze krajowców zawiniętych w obfite draperie, na Europejczyków w ubraniach z dymki zdającej się przylegać jak skóra; biali siedzieli razem, bardzo zgrzani, trzymając na kolanach okrągłe hełmy korkowe; pod ścianami przemykali sądowi policjanci, krajowcy, opięci ciasno w długie białe kapoty; migali szybko tu i tam, biegając boso na palcach, przepasani czerwonymi szarfami, w czerwonych turbanach na głowie, bezszelestni jak cienie i czujni jak psy gończe.

Oczy Jima, błędzące po sali w przerwach między odpowiedziami, zatrzymały się na białym, który siedział oddzielnie; miał twarz zniszczoną i chmurną, a spokojne jego oczy patrzyły wprost na Jima, jasne i pełne zainteresowania. Jim odpowiadał właśnie na jakieś pytanie i miał ochotę krzyknąć: „Po co to wszystko! Po co!” Uderzał z lekka nogą o podium, przygryzał wargi i patrzył w dal ponad głowami. Napotkał oczy białego. Spojrzenie utkwione w nim różniło się od urzeczonego wzroku innych widzów. Był to akt świątłej woli. Jim zapomniał się tak dalece między dwoma pytaniami, że znalazł czas, aby pomyśleć: „Ten człowiek patrzy na mnie, jakby widział kogoś czy coś za moimi plecami”. Jim spotkał go już kiedyś – może na ulicy. Był pewien, że nigdy z nim nie rozmawiał. Od dni, od wielu dni nie mówił do nikogo, lecz rozprawiał po cichu, bez ładu i bez końca, z samym sobą, jak samotny więzień w celi lub wędrowiec zagubiony wśród dzikiej głuszy. Teraz odpowiadał na pytania – które nie miały żadnego znaczenia, choć dążyły do określonego celu – ale wątpił o tym, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu wypowie. Dźwięk jego własnych, szczerych zeznań utwierdzał go w przekonaniu, powziętym po dłuższej rozwadze, że mowa jest już dlań zbyt cenna. Miał wrażenie, iż tamten człowiek zdaje sobie sprawę z jego beznadziejnych trudności. Jim popatrzył na niego, po czym odwrócił się stanowczo, jakby w chwili ostatecznej rozłąki.

A później niejednokrotnie, w odległych częściach świata, Marlow przejawiał skłonność do wspomnienia Jima, do szczegółowych i głośnych rozpamiętywań na jego temat.

Może zdarzyło się to po obiedzie, na werandzie udrapowanej w nieruchome listowie, uwieńczonej kwiatami, w głębokim mroku pocętkowanym ogieńkami cygar. Wydłużone kształty trzcinowych foteli gościły milczących słuchaczy. Niekiedy żarzący się, czerwony krążek poruszał się niespodziewanie, oświetlając palce leniwej ręki i część twarzy pogrążonej w głębokim spokoju, albo rzucił karmazynowe błyski w dwoje zadumanych oczu ukrytych w cieniu gładkiego czoła.

A z pierwszym słowem Marlowa jego postać, wyciągnięta spokojnie na leżaku, zapadała w zupełny bezruch. Wydawało się, że duch tego człowieka odlatuje wstecz, w minione czasy i przemawia jego wargami – z przeszłości.

## Rozdział piąty

O tak. Byłem obecny na sprawie – mówił Marlow – i do dziś dnia nie przestaję się dziwić, po co tam chodziłem. Gotów jestem uwierzyć, że każdy z nas ma swego anioła stróża, jeśli zgodzicie się ze mną, że każdy z nas ma również swego własnego diabła. Chcę, abyście się do tego przyznali, ponieważ pod żadnym względem nie lubię się czuć wyjątkiem, a wiem, że go mam – mówię o swoim diable. Nie widziałem go oczywiście – ale opieram się na dowodach rzeczowych. Krąży koło mnie z pewnością, a że jest złośliwy, robi mi kawały tego rodzaju. Zapytacie, jakiego rodzaju? No więc takie jak ta cała sprawa sądowa, jak ta historia z żółtym psem. – Powiedzcie tylko, do czego to podobne, aby pozwalano parszywemu malajskiemu kundlowi płatać się ludziom między nogami na werandzie sali sądowej, co? – A te podstępne, nieoczekiwane, istic szatańskie podejścia, dzięki którym natykam się na ludzi o różnych słabościach, narowach, ukrytych skazach, na Boga! ludzi, którym mój widok rozwiązuje języki pobudzając ich do piekielnych zwierzeń; jak gdybym doprawdy sam przed sobą nie miał się z czego zwierzać, jak gdybym – niestety – nie posiadał aż nadto poufnych wiadomości o samym sobie, wiadomości, które będą dręczyły moją duszę aż do końca wyznaczonych mi dni. I pragnąłbym wiedzieć, co uczyniłem, aby być wyróżniany w ten sposób. Oświadczam, że tyle mam własnych spraw na głowie co i wszyscy ludzie, a pamięć taką samą jak każdy przeciętny pielgrzym na tym padole; widzicie zatem, że nie nadaję się szczególnie na studnię zwierzeń. Więc dlaczego mnie to spotyka? Nie mam pojęcia – chyba dlatego, aby czas mijał prędko po obiedzie. Karolku, chłopcze kochany, twój obiad, był znakomity i z tego powodu ci oto panowie uważają spokojnego robra za zbyt burzliwe zajęcie. Wylegują się na twoich wygodnych fotelach i mówią sobie: „Ani myślę się fatygować. Niech tam ten Marlow gada”.

A więc będę mówił! Niech i tak będzie. A wcale łatwo jest mówić o Imć Panu Jimie po dobrej wyżerce, siedząc dwieście stóp nad poziomem morza, z pudełkiem porządnych cygar pod ręką, w rozkoszny wieczór pełen świeżości i gwiazdnego blasku, wieczór, który by i najlepszemu z nas kazał zapomnieć, że znajdujemy się tu tylko na krótkim urlopie i że nadal musimy wynajdywać na rozstajach naszą własną drogę bacząc czujnie na każdą cenną minutę, każdy nieodwołalny krok, wierząc jednak, że w końcu zdołamy wybrnąć z tego przyzwoicie – choć niezbyt pewni siebie w gruncie rzeczy. I diablo mało możemy liczyć na pomoc tych, o których się ocieramy na prawo i na lewo. Naturalnie, że tu czy tam trafiają się ludzie, dla których całe życie jest jak poobiednia godzina spędzona z cygarem w rękę; łatwe, przyjemne, puste, może urozmaicone jakąś bajką o walce – bajką, o której się zapomina, nim się jej wysłuchało do końca – nim się jej wysłuchało – nawet jeśli się zdarza, że bajka ma jakiś koniec.

Nasze oczy spotkały się po raz pierwszy w czasie tego śledztwa. Trzeba wam wiedzieć, że każdy, kto miał jakikolwiek związek z morzem, był tam na sali, ponieważ sprawa stała się głośna od chwili, gdy ów tajemniczy telegram kablowy przyszedł z Adenu i rozpętał nam wszystkim języki. Nazywam go tajemniczym, choć zawierał nagi fakt – tak dalece nagi i brzydki, jakim tylko fakt być może. Całe wybrzeże o niczym innym nie mówiło. Z samego rana słyszałem już przez gródź, ubierając się w kajucie, mego Persa, Dubosza, paplącego o „Patnie” ze stewardem, który został dopuszczony łaskawie do wypicia w kredensie filiżanki herbaty. Ledwie się znalazłem na brzegu, spotykałem kogoś znajomego, a ten pytał od razu: „Słyszał pan kiedyś o czymś podobnym?”, i – zależnie od swojej natury – uśmiechał się z cynizmem albo wyglądał posepnie, albo rzucał parę przekleństw. Ludzie zupełnie obcy zaczepiali się poufale tylko po to, aby ulżyć sobie w duchu na ten temat; byle łazik z miasta znajdował okazję do porządnej wypitki rozprawiając o tej historii; słyszało się o niej w urzędzie portowym, u każdego dostawcy okrętowego, u agentów; była na ustach białych, krajowców, Metysów, i – słowo daję – nawet półnagich wioślarzy siedzących w kucki na kamiennych schodach, którymi się szło w górę. Trochę się oburzano, żartów strojono co niemiara i rozprawiano bez końca na temat, co też się mogło stać z tymi ludźmi. Ciągnęło się to już parę tygodni lub więcej

i zaczynała przeważać opinia, że to, co było tajemnicze w tej sprawie, okaże się w końcu tragiczne, aż pewnego pięknego poranku, gdy stałem w cieniu obok schodów prowadzących do urzędu portowego, spostrzegłem czterech ludzi idących ku mnie bulwarem. Dziwiłem się przez chwilę, skąd się wzięła ta dziwna kompania, i nagle, że tak powiem, krzyknąłem w duchu: „Oto oni!”

Byli to naturalnie oni – trzej o zwykłych wymiarach, a czwarty o tuszy przekraczającej znacznie objętość normalnego człowieka. Wsunąwszy porządne śniadanie wysiedli właśnie przed chwilą z parowca linii Dale, dążącego na Wschód, który to parowiec przybył mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. Omyłka była niemożliwa; poznałem jowialnego szypra „Patny” od pierwszego spojrzenia: najtłuściejszy człowiek w całym przeklętym pasie podzwrotnikowym naokoluteńko naszej pocziwej starej ziemi. Z jakie dziewięć miesięcy przedtem zetknąłem się z nim w Semarangu. Parowiec jego brał ładunek w Roads, a on wymyślał na tyrańskie urządzenia cesarstwa niemieckiego i żłopał piwo od rana do wieczora, dzień po dniu, w pokoju za sklepem De Jongha; aż wreszcie De Jongh, który liczył mu guldena od flaszki bez zająknięcia, wziął mnie na stronę i oświadczył poufnie, marszcząc swą małą, jakby skórzaną twarzyczkę: „Interes interesem, ale kiedy patrzę na tego człowieka, panie kapitanie, to aż mi się robi niedobrze. Tfu!” Stojąc w cieniu patrzyłem na szypra „Patny”. Szedł spiesźnie, wyprzedzając nieco tamtych, a promienie słońca biły w niego uwydatniając jego objętość w sposób zastraszający. Przywodził na myśl tresowane słońiatko chodzące na tylnych nogach. A przy tym był cudacznie jaskrawy – miał na sobie wybrudzoną pidżamę w jasnozielone i ciemnopomarańczowe pionowe pasy; gołe jego nogi były obute w parę obszarpanych słomianych chodaków, a na wielkiej głowie tkwił wyrzucony przez kogoś korkowy hełm, bardzo brudny i o dwa numery za mały, przywiązany sznurkiem z manili na samym czubku. Zrozumiecie, że człowiek, który tak wygląda, nie może mieć ani krzty szczęścia, kiedy przyjdzie mu pożyczyć ubranie. No i dobrze. Zbliżał się z gorączkowym pośpiechem, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, przeszedł o trzy stopy ode mnie i w niewinności swego serca popędził w górę po schodach do portowego urzędu, aby złożyć zeznanie czy raport, czy jak wam się spodoba to nazwać.

Podobno zwrócił się przede wszystkim do głównego inspektora żeglugowego. Archie Ruthvel przyszedł właśnie do biura i – jak mi później opowiadał – zaczynał mozolny dzień od zmycia głowy głównemu swemu urzędnikowi. Może który z was znał Ruthvela – taki ugrzeczniomy, mały portugalski Metys, o nędznej, wychudłej szyi, czyhający stale na to, aby wyłudzić od szyprów jakieś wiktuały – kawał solonej wieprzowiny, worek sucharów, trochę kartofli i w ogóle, co się tylko dało. Pamiętam, że podczas jednej podróży darowałem mu żywą owcę z reszty mych morskich zapasów; wcale nie dlatego, abym czegoś od niego potrzebował – bo nie mógł nic dla mnie uczynić – ale jego dziecinna wiara w swoje święte prawo do ubocznych dochodów po prostu wzięła mnie za serce; była tak silna, że stawała się niemal piękna. Jego rasa – a raczej obie rasy – i w dodatku klimat... No, ale mniejsza, o to. Wiem, gdzie znajdę przyjaciela na śmierć i życie.

Ruthvel mówił mi, że właśnie w trakcie dawania nauk swemu urzędnikowi – przypuszczam, że na temat etyki obowiązującej stan urzędniczy – posłyszał za sobą jakieś stłumione poruszenie; odwrócił głowę i ujrzał – wedle jego własnych słów – coś okrągłego i olbrzymiego, co przypominało beczkę z cukrem wagi tysiąca sześciuset funtów, zawiniętą w pasiastą flanelę i ustawioną na środku rozległego biura. Tak go to zaskoczyło, iż przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy, że to coś jest żywe, i siedział bez ruchu rozmyślając, w jakim celu i jakim sposobem ten przedmiot znalazł się przed jego biurkiem. W sklepionych drzwiach prowadzących do przedpokoju tłoczyli się ludzie obsługujący *punkah*, zamiatacze, krajowi policjanci, bosman i załoga portowej szalupy parowej – a wszyscy wyciągali szyje i prawie wśliznęli jeden drugiemu na plecy. Zupełnie jak podczas jakichś rozruchów. Tymczasem ów osobnik z wysiłkiem zdarł z głowy kapelusz i sunął w lekkich ukłonach ku Ruthvelowi; według własnych słów Ruthvela było to tak niepokojące, iż przez pewien czas słuchał przemowy zjawiska nie mogąc wyrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Mówiło głosem ochryplym, ponurym, lecz nieustraszonym i stopniowo Ruthvel zrozumiał, iż to jest dalszy ciąg wypadku „Patny”.

Opowiadał mi, że w chwili gdy pojął, kto przed nim stoi, zrobiło mu się dosłownie słabo – Archie taki jest wrażliwy i tak łatwo się wzrusza – ale opanował się i krzyknął:

– Dość tego! To nie moja rzecz pana słuchać. Musi pan się zgłosić do kapitana portu. Ja stanowczo nie mogę pana wysłuchać, to kapitan Elliot jest od tego. Tędy, o, tędy.

Zerwał się z krzesła, obiegnął długi kontuar, ciągnął szypra, popychał, a ów dał się prowadzić, zaskoczony, lecz posłuszny na razie, i dopiero u wejścia do prywatnego gabinetu kapitana, jakby pod wpływem zwierzęcego instynktu, zaczął się opierać i prychać jak przestraszony byk.

– No, no! Co to jest? Proszę mnie puścić! No, panie!

Archie otworzył gwałtownie drzwi bez pukania.

– Dowódca „Patny”, panie kapitanie! – krzyknął. – Proszę, niech pan wejdzie.

Widział, jak starszy podniósł głowę znad papierów tak gwałtownie, że aż binokle spadły mu z nosa. Archie zatrzasnął drzwi i uciekł do biura, gdzie różne papiery czekały na jego podpis; ale – opowiadał mi – awantura, która wybuchła w tamtym pokoju, była tak straszna, że nie mógł się na tyle opanować, aby sobie przypomnieć litery własnego nazwiska. Archie jest najwrażliwszy ze wszystkich inspektorów żeglugowych na obu półkulach. Oświadczył mi, że miał wówczas wrażenie, jakby rzucił człowieka głodnemu lwu na pożarcie. Nie ma dwóch zdań, hałas był wielki. Słyszałem go z dołu i mam wszelkie dane po temu, że słyszano go wyraźnie poprzez całą Esplanadę aż do pawilonu dla orkiestry. Stary dziadzio Elliot posiadał wielki zasób słów i umiał krzyczeć, a wszystko mu było jedno na kogo. Byłby krzyczał i na samego wicekróla. Mawiał do mnie nieraz w te słowa:

– Wyższego stanowiska już nie dostanę; emeryturę mam zapewnioną. Odłożyłem sobie tam z parę funtów i jeśli się moje poglądy na obowiązek komu nie podobają, każdej chwili mogę wrócić do kraju. Jestem starym człowiekiem i zawsze mówiłem otwarcie, co myślę. Teraz chodzi mi tylko o to, żeby przed śmiercią wydać za mąż moje dziewczęta.

Miał na tym punkcie lekkiego bzika. Jego trzy córki były strasznie miłe, choć zdumiewająco przypominały ojca, a w te ranki, kiedy stary Elliot budził się z ponurym przecuciem co do ich matrymonialnych widoków, całe biuro wyczytywało to z jego oczu i trzęsło się, ponieważ, jak mówiono, kapitan z pewnością pożre kogoś na śniadanie. Jednak owego ranka nie pożarł renegata, ale – jeśli mi wolno doprowadzić metaforę do końca – zżuł go na miazgę, że tak powiem, i – ach! wypłuł go.

Tedy w bardzo krótkim czasie ujrzałem znów potworną postać szypra, który zbiegł po stopniach w pośpiechu i zatrzymał się u zewnętrznych schodów. Przystanął blisko mnie i zamyślił się głęboko; jego wielkie, purpurowe policzki drgały. Gryzł wielki palec, a po chwili zauważył mnie i zmierzył spode łba wściekłym spojrzeniem. Trzej inni, którzy z nim wylądowali, tworzyli małą gromadkę czekającą opodał. Był wśród nich wybladły, niepozorny człowieczek z ręką na temblaku i długi osobnik w granatowym flanelowym kaftanie, suchy jak wiór i nie grubszy niż kij od szczotki; miał obwisłe, siwe wąsy i rozglądał się z niefrasobliwą głupotą. Trzecim był prosto się trzymający, barczysty młodzieniec z rękami w kieszeniach, zwrócony tyłem do tamtych dwóch, którzy zdawali się prowadzić jakąś poważną rozmowę. Patrzył poprzez pustą Esplanadę. Zniszczony, okryty pyłem powozik z żaluzjami zatrzymał się naprzeciw tej grupy i woźnica, położywszy prawą nogę na kolanie, oddał się krytycznemu przeglądowi swych palców. Młody człowiek stał nieruchomo, nie poruszając nawet głową, i patrzył po prostu w blask słońca. Oto, jak po raz pierwszy ujrzałem Jima. Wyglądał tak obojętnie i nieprzystępnie, jak to się zdarza tylko u młodych. Stał trzymając się mocno na nogach, harmonijnie zbudowany, z twarzą pełną szczerości i robił wrażenie najbardziej obiecującego chłopca pod słońcem; a gdy tak na niego patrzyłem, wiedząc o wszystkim, co on wiedział, i jeszcze oparu rzeczach poza tym, zdjął mnie gniew, jakbym go przyłapał na wyludzaniu czegoś ode mnie pod fałszywym pozorem. Nie powinien był tak wyglądać. Pomyślałem sobie w duchu – no, jeśli człowiek tego rodzaju może zjechać na psy... i zdawało mi się, że ze zmartwienia cisnę na ziemię kapeluszyk i podepczę go – widziałem raz, jak to zrobił szyper włoskiego barku, ponieważ jego cymbał pomocnik poplątał coś z kotwicami, gdy w biegu cumował się do boi kotwicznej na redzie pełnej statków.

Zapytywałem siebie patrząc na pozorną swobodę tego chłopca – czy on jest taki ograniczony, czy też zatwardziały? Wydawało się, iż za chwilę zacznie pogwizdywać. A zważcie, że zachowanie tamtych dwóch nic a nic mnie nie obchodziło. Ich osoby pasowały jakoś do historii, która była na wszystkich językach i miała się stać przedmiotem urzędowego śledztwa.

– Ten stary bzik, ten łotr tam na górze nazwał mnie psem – rzekł kapitan „Patny”.

Nie zdaję sobie sprawy, czy mię poznał – myślę, że raczej tak, ale w każdym razie nasze spojrzenia się spotkały. Wytrzeszczył na mnie oczy, a ja się uśmiechnąłem: pies był najłagodniejszym z epitetów, które dosięgły mnie przez otwarte okno.

– Doprawdy – rzekłem, bo dziwnie jakoś język mię świerzbiał. Szyper kiwnął głową, przygryzł znów wielki palec, mruknął jakieś przekleństwo; wreszcie podniósł głowę i rzekł patrząc na mnie z posępną i zażartą bezczelnością:

– Co mi tam! Pacyfik jest wielki, mój przyjacielu. Choćbyście pękli, nic mi nie zrobicie, przekłete Angliki; wiem dobrze, gdzie się znajdzie w bród miejsca dla takiego jak jak człowieka; mam dużo znajomych w Apia, w Honolulu, w...

Urwał i namyślał się, a ja mogłem sobie wyobrazić bez trudu „znajomych”, z którymi przestawał w owych miejscowościach. Nie będę tał, że i ja także przestawałem z wielu ludźmi tej kategorii. Bywają czasy, kiedy człowiek musi postępować tak, jakby życie było jednakowo słodkie w każdym towarzystwie, przeżywałem i takie czasy, i co więcej, nie myślę teraz stroić nad tym smętnych min, gdyż niejedyn człowiek z owego złego towarzystwa – wskutek braku moralnego... moralnego... jakby to powiedzieć? nastawienia lub wskutek innej, równie głębokiej przyczyny – był dwakroć ciekawszy i stokroć zabawniejszy niż zwykły szacowny kupiec-szachraj, którego zapraszacie do stołu bez żadnej istotnej potrzeby – z przyzwyczajenia, z tchórzostwa, z dobroduszości, z tysiąca przyczyn obłudnych i niewłaściwych.

– Wszyscyście dranie, wy, Angliki – ciągnął mój patriotyczny Australijczyk ze Szczecina czy Flensburga.

Nie pamiętam już teraz, który z porządnych małych portów bałtyckich był gniazdem tego cennego ptaka.

– Jakim prawem pan na mnie krzyczy? Co? Odpowiadaj pan! Nie jesteś pan lepszy od innych, a ten stary, zbzikowany drań urządził mi wściekłą awanturę.

Opasłe cielsko szypra drżało na nogach podobnych do dwóch słupów; drżało od stóp aż do głowy. – To u was, Anglików, jest w zwyczaju wyprawianie piekielnych awantur o lada głupstwo, dlatego że się człowiek nie urodził w waszym, psiakrew, kraju. Odbierze mi świadectwo. A odbieraj sobie! Nie potrzebuję żadnego świadectwa. Taki człowiek jak ja nie potrzebuje waszych *verfluchte*<sup>6</sup> świadectw. Pluję na nie. – Splunął. – Przyjmuję obywatelstwo amerykańskie – krzyczał pniąc się z wściekłości i suwając nogami, jakby je chciał wyswobodzić z jakiegoś niewidzialnego, tajemniczego uchwytu, który nie pozwalał mu ruszyć z miejsca.

Taki był rozgorączkowany, że z jego okrągłej głowy literalnie się dymiło. Przyczyna, która nie pozwalała mi odejść, nie była wcale tajemnicza: ciekawość jest najbardziej zrozumiałym z uczuć i ona to właśnie trzymała mię na miejscu; pragnąłem się przekonać, jakie wrażenie wywrze wiadomość o wszystkim, co zaszło, na tym chłopcu, który z rękami w kieszeniach stał tyłem do trotuaru, spoglądając ponad trawniki Esplanady ku złotemu portykowi hotelu „Malabar”, i miał minę człowieka wybierającego się na spacer, z chwilą gdy jego kolega będzie gotów. Tak właśnie wyglądał i to było wstrętne. Czekałem, chcąc zobaczyć, jak go owa wiadomość przytłoczy, zmiesza, przebiję na wskroś; sądziłem, że będzie się wił jak chrząszcz nadziany na szpilkę – i bałem się to zobaczyć – nie wiem, czy mię rozumiecie. Nic okropniejszego, jak śledzić człowieka, który został przyłapany nie na zbrodni, lecz na gorszej niż zbrodni słabości. Przeciętna moralna dyscyplina nie pozwala nam popełniać zbrodni – w prawnym znaczeniu tego wyrazu; ale nikt z nas nie czuje się bezpieczny

---

<sup>6</sup> *verfluchte* (niem.) – przekłete. [przypis edytorski]

wobec jakiejś słabości nieznannej – choć może podejrzewanej, tak jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; wobec słabości, która się może przyczaić w ukryciu, czy ją śledzimy, czy też nie – od której szukamy ucieczki w modlitwie albo gardzimy nią po męsku; którą tłumimy lub też nie wiemy, że istnieje przez więcej niż pół życia. Człowiek daje się zniechęcać wciągać w sprawy, za które mu wymyślają, albo w sprawy trące szubienicą, a jednak duch jego może przetrwać to wszystko – przetrwać ogólne potępienie, a nawet i stryzyk – zaiste! A zdarzają się czasem rzeczy – na pozór dość błahe – które zupełnie gubią pewnych ludzi. Obserwowałem tego młodego chłopca. Podobał mi się z powierzchowności; znałem ludzi tego typu; pochodził z dobrego gniazda – był jednym z nas. Przedstawiał tu cały pokrewny mu rodzaj, kobiet i mężczyzn ani szczególnie zdolnych, ani bardzo zajmujących – ludzi, których istnienie opiera się po prostu na uczciwej wierze i instynktownej odwadze. Nie chodzi mi o odwagę wojskową ani odwagę cywilną, ani żaden specjalny rodzaj odwagi. Mam na myśli tę wrodzoną zdolność do spojrzenia pokusie prosto w oczy – gotowość bynajmniej nie intelektualną, lecz pozbawioną pozory – odporność, być może, wyzbytą z wdzięku, ale bezcenną – instynktowną i błogosławioną, nieugiętość wobec zewnętrznych i wewnętrznych trwóg, wobec potęgi przyrody, wobec kuszącego ludzkiego zepsucia – nieugiętość popartą przez wiarę, która nie ulega sile faktów, niedostępna jest dla zarazy przykładu, dla ponęt idei. Precz z ideami! To są włóczęgi, łaziki, co się dobierają do tylnych drzwi duszy, aby cząstka po cząstce unosić naszą istotę; aby wykradać okruchy wiary – tej wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć.

Wszystko to nie ma nic wspólnego z Jimem; ale jego wygląd był typowym wyglądem człowieka z tego zacnego, rzadkiego gatunku, który przyjemnie jest czuć wkoło siebie; gatunek nie spaczony przez wybryki inteligencji i dziwactwa... dziwactwa, powiedzmy, nerwów. Był to rodzaj człowieka, któremu by się oddało – na podstawie jego wyglądu – statek w opiekę, mówiąc dosłownie i w przenośni. Twierdzę, że byłbym to zrobił, a powinienem się przecieżyć znać na tym. Czyż swego czasu nie wychowałem sporo chłopców, aby służyli brytyjskiej banderze, aby uprawiali ten zawód, którego cała tajemnica da się zawrzeć w jednym krótkim zdaniu – a jednak trzeba ją wbijać dzień po dniu w młode głowy, póki się nie stanie składową częścią każdej ich myśli na jawie – póki nie zawładnie każdym snem ich młodości! Morze było dla mnie łaskawe, ale kiedy sobie przypomnę wszystkich tych chłopców, co przeszli przez moje ręce – niektórzy z nich są już dorośli, inni utonęli w morzu, a wszyscy byli dobrym materiałem na marynarzy; kiedy ich sobie przypominam, nie sądzę wcale, aby moja praca była jałowa. Gdybym jutro miał się znaleźć w kraju, założę się, że przed upływem dwóch dni jakiś opalony młody pierwszy oficer przyłapałby mnie u wejścia do któregoś z doków i zapytałby czystym, głębokim głosem: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Przecież jestem mały ten a ten. Taki a taki okręt. To była moja pierwsza podróż”. A mnie by stanął w pamięci onieśmielony brzdąc, nie wyższy od poręczy tego krzesła, odprowadzany przez matkę, a często i dorosłą siostrę; widzę, jak stoją obie na bulwarze, bardzo spokojne, lecz zbyt wzruszone, by powiewać chustką ku statkowi, co sunie powoli między dwoma występami mola; lub może przypomniabym sobie jakiego zacnego ojca w średnich latach, który przybył wcześniej, aby odprowadzić swego chłopca, i został na pokładzie przez cały ranek, okazując niezmiernie zainteresowanie wyciągiem kotwicznym; został za długo – i musi gramolić się na brzeg w ostatniej chwili, kiedy nie ma już czasu się żegnać. Pilot na rufie woła do mnie przeciągając śpiewnie: „Panie pomocniku, niech no pan przytrzyma linę na chwilę. Tu jest jeszcze jeden pan, co chce wysiąść. No, dalej, panie! Mało brakowało, abyśmy powieźli pana do Talcahuano! Teraz niech pan wysiada; powoli... Dobrze. Puszczajcie tam linę na przodzie”. Holowniki, dymiące jak otchłań potępienia, pochwytyły nas i młocą starą rzekę przyprawiając ją o wściekłość; pan na brzegu otrzępuje sobie z kurzu kolana – dobrotliwy steward rzuca za nim jego parasol. Wszystko, jak się należy. Ów pan złożył swoją ofiarę morzu, a teraz pójdzie do domu udając, że wcale o tym nie myśli – zaś ta dobrowolna ofiara w postaci jego syna bardzo będzie cierpiała na morską chorobę, nim ranek nadejdzie. Z czasem, kiedy nauczy się wszystkich mniejszych sekretów swego zawodu i jednej jego

wielkiej tajemnicy – będzie zdalny do życia lub gotowy na śmierć na morzu – zależnie od jego wyroku; a człowiek, co przykładął rękę do tej szaleńczej gry, w której morze zawsze jest górą, z przyjemnością poczuje na plecach uderzenie młodej, ciężkiej ręki i usłyszy wesoły głos morskiego szczeniaka: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Jestem mały ten a ten”.

Mówię wam – że to daje zadowolenie; świadczy, że przynajmniej raz w życiu człowiek wykonał robotę, jak się należy. Trzepnięto mnie tak nieraz w plecy; wzdrygałem się, bo uderzenie było silne, a potem cieszyłem się przez cały dzień i kładąc się do łóżka, czułem się mniej samotny na świecie dzięki temu serdecznemu trzepnięciu. Ja bym nie miał pamiętać tych smyków! Mówię wam, że chyba się znam na tym, jak przyzwoity człowiek powinien wyglądać. Byłbym powierzył temu młodzikowi statek na podstawie jednego rzuconego na niego spojrzenia, zasnąłbym najspokojniej i – jak mi Bóg miły – to by nie było bezpieczne. Całe głębie zgrozy są w tej myśli. Wyglądał pełnowartościowo jak nowa moneta – a jednak była w tym metalu jakaś szatańska domieszka. Jak dużo jej było? Tylko odrobina, kropelka czegoś niezwykłego i przekłętą – drobnutka kropelka! Gdy tak stał z tą swoją niedbałą, lekceważącą miną, zadałem sobie pytanie – czy nie jest on przypadkiem ulany z metalu bardzo pospolitego?

Trudno mi było w to uwierzyć. Pragnąłem ujrzyć jego udękę – pragnąłem tego dla honoru mego zawodu. Tamci dwaj faceci spostrzegli swego kapitana i ruszyli z wolna w naszą stronę. Rozmawiali idąc ku nam powoli i tak zupełnie nie brałem ich pod uwagę, jakby się ich wcale gołym okiem nie dostrzegało. Szczerzyli zęby do siebie; opowiadali sobie pewnie jakieś kawały, o ile mogłem sądzić. Widziałem, że jeden z nich ma złamaną rękę; drugi zaś – wysokie indywiduum o siwych wąsach, główny mechanik – była to z wielu względów wcale znana osobistość. Jeden z drugim – nicość zupełna. Zbliżali się. Szyper patrzył martwo w jakiś punkt między swymi stopami; zdawało się, że spuchł do nienaturalnych rozmiarów wskutek jakiejś okropnej choroby lub tajemniczego działania nieznannej trucizny. Podniósł głowę, ujrzał przed sobą tych dwóch czekających na niego, otworzył usta z dziwnym, szyderczym grymasem na rozdętej twarzy – pewnie, aby coś im powiedzieć – gdy wtem uderzyła go widać jakaś myśl. Jego grube, prawie fioletowe wargi zamknęły się bez dźwięku; ruszył stanowczym krokiem ku powozikowi, kołysząc się jak kaczka, i zaczął szarpać klamkę drzwiczek z tak brutalną niecierpliwością, że zdawało się – cała buda przewróci się razem z kucykiem. Woźnica, wyrwany z medytacji nad swoją stopą, ujawnił natychmiast wszystkie oznaki potężnego strachu i trzymał się kozła oburącz, patrząc na pękate cielsko torujące sobie drogę do jego wehikułu. Mały powozik trząsał się i kiwał hałaśliwie, a pochylony, szkarłatny kark szypra, objętość wyprężonych ud, olbrzymie, falujące, brudne plecy w pasy zielone i pomarańczowe, cały wysiłek tej jaskrawej i niechlujnej bryły mącił moje poczucie rzeczywistości, wywierając śmieszne i groźne wrażenie, niby groteskowe, wyraźne majaki, które przerażają i fascynują nas w gorączce. Oczekiwałem niemal, że dach się rozpadnie na dwoje, że małe pudło na kołach pęknie na kształt dojrzałego strąka bawełny – lecz tylko opadło niżej z brzękiem spłaszczonych sprężyn i nagle jedna z żaluzji opuściła się grzechocząc. Ukazały się znów ramiona wciśnięte w mały otwór i wychylona głowa szypra, rozdęta i podskakująca jak balon na uwięzi, spocona, wściekła, bełkocząca. Sięgał ku woźnicy wywijając wściekle opasłą pięścią, czerwoną jak kawał surowego mięsa. Ryknął na niego, żeby ruszał, żeby jechał. Dokąd? Może na sam środek Pacyfiku. Woźnica zaciął kuca, który parsknął, wspiął się na tylne kopyta i puścił z miejsca galopem. Dokąd? Do Apia? Do Honolulu? Dowódca „Patny” miał przed sobą sześć tysięcy mil pasa podzwrotnikowego, gdzie się mógł rozbijać do woli, a dokładnego adresu nie słyszałem. Parskający kuc porwał go w *Ewigkeit*<sup>7</sup> w mgnieniu oka i nigdy go już nie zobaczyłem; co więcej, nie znam nikogo, kto by widział go kiedykolwiek od chwili, gdy znikł mi z oczu siedząc w małym, roztrzęsionym powoziku, który zakręcił gwałtownie na rogu ulicy w białym tumanie pyłu. Odjechał, znikł, przepadł, uszedł; i w jakiś idiotyczny sposób wyglądało to, jakby zabrał z sobą i ten powozik, bo nigdy już więcej nie zobaczyłem gniadego kuca

<sup>7</sup> *Ewigkeit* (niem.) – wieczność. [przypis edytorski]

o rozciętym uchu i niemrawego woźnicy, Tamila, o chorej nodze. Pacyfik jest wielki zaiste; nie wiem, czy szyper znalazł na nim miejsce dla rozwijania swych talentów, pozostaje jednak faktem, że uniósł się w przestrzeń jak czarownica na miotle. Mały człowieczek z ręką na temblaku zaczął tak biec za powozikiem becząc: „Kapitanie! Hej, kapitanie! He-e-aj!”, ale po kilku krokach zatrzymał się, zwiesił głowę i ruszył wolno z powrotem. Na ostry zgrzyt kół młody człowiek obrócił się na pięcie. Nie zrobił żadnego innego ruchu, gestu czy znaku i pozostał tak, zwrócony w nowym kierunku, choć powozik już zniknął.

Wszystko to zajęło znacznie mniej czasu niż moje opowiadanie, ponieważ usiłuję wytłumaczyć wam dokładnie błyskawiczne wrażenia wzrokowe. W następnej chwili zjawił się na scenie urzędnik Metys; został wysłany przez Archiego, aby się trochę zająć biednymi rozbitkami z „Patny”. Wybiegł skwapliwie z gołą głową, patrząc w prawo i lewo, bardzo swą misją przejęty. Nie miała mu się powieść, jeśli chodzi o główną osobę, lecz zbliżył się do pozostałych z hałaśliwą arogancją i wplątał się prawie natychmiast w gwałtowną kłótnię z facetem, który miał rękę na temblaku i który, jak się okazało, pożałował namiętnie awantury. Ów facet oświadczył, że ani myśli pozwolić, aby mu rozkazywano – jeszcze czego, do jasnej cholery! Nie zastraszą go łgarstwa takiego zarozumiałego mieszańca, gryzpiórka. Nie pozwoli sobą pomiatać „byle chłystkowi”, nawet jeśli by ta cała historia okazała się rzeczywiście prawdziwa. Wrzasnął, że chce, że pragnie, że musi położyć się do łóżka. Słyszałem, jak wrzeszczał: „Gdyby pan nie był zatraconym Portugalczykiem, wiedziałby pan, że moje miejsce jest tylko w szpitalu”. Podsunął pięść zdrowej ręki pod nos tamtego; zaczął się zbierać tłum; zmieszany Metys usiłując zachować minę pełną godności tłumaczył, jak mógł, swoje zamiary. Odszedłem nie doczekawszy się końca.

Tak się jednak złożyło, że w tym samym czasie jeden z moich ludzi leżał w szpitalu, i gdy w przeddzień rozpoczęcia sprawy poszedłem go odwiedzić, zobaczyłem w oddziale dla białych owego człowieczka, który miotał się na łóżku, z ręką w łupkach, zupełnie nieprzytomny. Ku memu wielkiemu zdumieniu towarzysz jego, długi osobnik o białych, obwisłych wąsach, znalazł się tam również. Pamiętałem, że go widział uchodzącego chyłkiem w czasie kłótni; kroczył z powagą, suwając nogami, i starał się ze wszystkich sił nie dać poznać po sobie, że się boi. Port był mu widać znany; pomimo strapienia potrafił od razu wytropić szynk Marianiego z bilardowym pokojem koło bazaru. Ten nędzny włóczęga, Mariani, który znał mechanika i schlebiał jego nałogom już w paru innych miejscowościach, padł mu do nóg, że się tak wyrażę, i zamknął go z baterią butelek na piętrze swojej nędznej lepianki. Okazało się, iż mechanik miał jakieś niejasne obawy co do swego bezpieczeństwa, i chciał się ukryć. Mariani mówił mi w długi czas później (gdy przyszedł raz na pokład wydebić na moim stewardzie zapłatę za jakiś cygara), że bez żadnego wahania byłby zrobił dla mechanika i więcej, z wdzięczności – o ile zrozumiałem – za jakąś podejrzaną usługę, którą mu tamten wyświadczył przed wielu laty. Mariani palnął się dwakroć w muskularną pierś i potoczył olbrzymimi, czarno-białymi oczami błyszczącymi od łez: „Antonio nie zapomina – Antonio nigdy nie zapomina!” Jakiego właściwie rodzaju było to niemoralne zobowiązanie, nie dowiedziałem się nigdy, lecz tak czy owak, Mariani ułatwił mechanikowi, zdjętemu wariackim strachem, ukrycie się w zamkniętym na klucz pokoju – z krzesłem, stołem, materacem leżącym w kącie i warstwą opadłego tynku na podłodze – gdzie mógł się pokrępieć wszystkimi możliwymi trunkami, którymi Mariani rozporządzał. Trwało to aż do wieczora trzeciego dnia, kiedy mechanik krzycząc wniebogłosey musiał szukać ratunku w ucieczce przed legionami stonóg. Wywalił drzwi, rzucił się na łeb na szyję ze zmurszałych, wąskich schodków, wylądował na brzuchu Marianiego, pozbierał swoje gnaty i wypadł na ulicę jak strzała. Nazajutrz wczesnym rankiem policja podniosła go z kupy śmieci. Wyobrażał sobie z początku, że prowadzą go na szubienicę, i jak lew walczył, aby się oswobodzić; ale gdy zasiadłem przy jego łóżku, leżał już od dwóch dni bardzo cicho. Jego chuda, opalona na brąz twarz z białymi wąsami wyglądała na poduszce pięknie i spokojnie jak twarz wycieńczonego przez wojnę żołnierza o dziecięcej duszy; lecz w bezbarwnym połysku spojrzenia czyhał cień upiornego niepokoju, podobny do zgrozy wcielonej w jakąś nieokreśloną postać, czająca się po cichu za taflą

szkła. Był taki spokojny, że oddałem się dziwacznej nadziei, iż usłyszę od niego jakieś komentarze do rozgłoszonej historii z „Patną”. Dlaczego pragnąłem się grzebać w oplakanych szczegółach wypadku, który właściwie obchodził mnie tylko jako członka nieznannej ludzkiej społeczności, zjednoczonej przez wspólny niesławny znój i wierność dla pewnej modły postępowania – tego wytłumaczyć nie umiem. Może wam się podoba nazwać to jakąś niezdrową ciekawością; lecz ja mam wrażenie, że chciałem do czegoś dotrzeć. Może tkwiła we mnie podświadoma nadzieja, że znajdę to coś, tę jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, miłosierne wyjaśnienie, cień przekonywającej wymówki. Widzę teraz dokładnie, że pragnąłem niemożliwości, że usiłowałem odżegnać coś, co jest najuporczywszym z upiórów stworzonych przez człowieka: jątrzące zwątpienie, które się podnosi jak mgła, a mrozi bardziej niż pewność śmierci, ukryte i toczące niby robak – zwątpienie o tym, że istnieje władająca nami potęga uznana jako ustalony wzór postępowania. Takie zwątpienie jest najniebezpieczniejszą z przeszkód, o które człowiek może się potknąć; wywołuje wrzaskliwy popłoch i dobroduszne, spokojne podłostki; jest widmem prawdziwej klęski. Czyżbym wierzył wówczas w możliwość cudu? I dlaczego pragnąłem go tak gorąco? Czy ze względu na samego siebie pragnąłem znaleźć choćby cień czegoś, co by mogło wytłumaczyć postępek Jima – tego Jima, którego nigdy przedtem nie widziałem? Już sam jego wygląd sprawił, że rozmyślając o jego załamaniu się, zainteresowałem się nim głęboko, że jego postępek był dla mnie tajemnicą pełną grozy – jakby przebłyskiem zgubnego losu czyhającego na nas wszystkich – których młodość była ongi podobna do jego młodości. Obawiam się, że na tym właśnie polegał tajny powód mego wścibstwa. Oczekiwałem zaprawdę cudu. Jedyna rzecz, która teraz, z odległości czasu, uderza mnie jako zakrawająca na cud, to bezmiar mojej głupoty; bo miałem wówczas doprawdy nadzieję, że uzyskam od tego pogwałconego, mglistego osobnika egzorcyzm przeciwko duchowi zwątpienia. A przy tym musiałem być doprawdy szalony, bo nie tracąc czasu – po kilku uprzejmym i przyjaznym zdaniach, na które maszynista odpowiedział z gotowością, osłabiałym głosem, jak przystoi dobrze wychowanemu choremu – wyjechałem ze słowem „Patna”, owiniętym w delikatne pytanie, niby w puch jedwabnej przędzy. Moja delikatność płynęła z egoizmu – nie chciałem chorego spłoszyć; troskliwość nie miała z tym nic wspólnego; anim się na niego wściekał, anim go żałował; jego przeżycia były bez znaczenia, jego zbawienie nic by mnie nie obeszło. Postarzał się wśród drobnych podłostek i nie mógł już wzbudzać ani wstrętu, ani litości. Powtórzył pytająco: „Patna?”, zdawał się wyteżać przez chwilę pamięć i rzekł:

– Aha. Znam to wszystko jak własną kieszeń. Widziałem, jak tonęła.

Chciałem dać ujście swemu oburzeniu wobec tego idiotycznego kłamstwa, gdy dodał gładko:

– Pełna była gadów.

To mnie zatrzymało. Co on chciał przez to powiedzieć? Miałem wrażenie, że niespokojny upiór strachu znieruchomiał za jego szklistym wzrokiem i tęsknie spojrział mi w oczy.

– Wyrzucili mnie z koi podczas nocnej wachty, żebyśmy widział, jak tonie – dodał z namysłem.

Głos jego zabrzmiał nagle z niepokojącą siłą. Zawstydzilem się swojej głupoty. W perspektywie sali nie dostrzegało się śnieżnoskrzydłego kornetu pielęgniarki, lecz daleko, pośród długiego rzędu pustych żelaznych łóżek, jakiś człowiek, który uległ wypadkowi na statku w Roads, dźwignął się na posłaniu, opalony i chudy, z czołem przewiązanym bandażem na ukos. Nagle mój interesujący chory wyciągnął gwałtownie ramię cienkie jak u ośmiornicy i wpił mi się palcami w łokieć:

– Tylko moje oczy mogły to dostrzec. Jestem znany ze swego wzroku. Pewnie dlatego mnie zawołali. Żaden z nich nie miał dość bystrych oczu, aby dojrzeć, jak „Patna” tonie, ale przekonali się jednak, że zatoneła, i krzyknęli wszyscy razem – o tak... – Wycie podobne do wilczego przejęło mnie do szpiku kości.

– Ach, niechże pan zatka mu gębę – irytował się płacząco człowiek, który uległ wypadkowi.

– Zdaje się, że pan mi nie wierzy – ciągnął tamten z niesłychanie zarozumiałą miną. – Mówię panu, nie ma takich oczu jak moje po tej stronie Zatoki Perskiej. Niech pan zajrzy pod łóżko.

Naturalnie, schyliłem się natychmiast. Któż by tego nie zrobił?

– Co pan tam widzi? – rzekł.

– Nic – odpowiedziałem i zawstydzilem się strasznie samego siebie. Spojrzał na mnie badawczo z dziką i miazdzącą pogardą.

– Otóż to właśnie – powiedział – ale gdybym ja tam spojrzeł, to bym zobaczył – mówię panu, nie ma takich oczu jak moje. – Wpił mi się znowu w ramię i ciągnął mię ku sobie szukając ulgi w poufnym zwierzeniu: – Miliony różowych ropuch. Nie ma takich oczu jak moje. Miliony różowych ropuch. To jest gorsze niż widok tonącego statku. Mógłbym cały dzień patrzeć na tonące statki i palić fajkę. Dlaczego mi nie oddadzą mojej fajki? Paliłbym sobie pilnując tych ropuch. Statek był pełen ropuch. Pan rozumie, ich trzeba pilnować!

Mrugnął jowialnie. Pot kapał na niego z mojej głowy, dymkowa kurtka przylepiła mi się do mokrych pleców; wieczorny powiew przebiegł gwałtownie nad łózkami, sztywne fałdy firanek poruszyły się grzechocząc na mosiężnych prętach, kapy okrywające szereg pustych łóżek powiewały bezszelestnie tuż nad gołą podłogą, a mnie przejął dreszcz do szpiku kości. Łagodny powiew tropikalny igrał posepnie w tej pustej sali jak zimowy wichur w Anglii hulający po pustej stodole.

– Niech pan nie pozwoli mu więcej ryczeć – zawołał z daleka ranny z rozpaczą i gniewem, a głos jego rozbrzmiał wśród tych ścian, drgając niby krzyk w tunelu. Szpony wbite w ramię przyciągały mię; mechanik patrzył na mnie znacząco z ukosa.

– Okręt był ich pełen, uważa pan, a myśmy musieli zmiatać chyłkiem – szepnął niezmiernie szybko. – Wszystkie różowe. Wszystkie różowe, wielkie jak brytany, z jednym okiem na wierzchu głowy i szponami naokoło brzydkich pysków. Brr! Brr!

Szybkie wstrząsy, jakby wywołane elektrycznym prądem, ujawniły pod płaską kołdrą zarys chudych, niespokojnych nóg; mechanik puścił moje ramię i sięgnął po coś w powietrze; drżał na całym ciele, wyprężony niby trącona struna harfy; a gdy tak z góry na niego patrzyłem, przyczajony upiór zgrozy przedarł się przez jego szklisty wzrok. W jednej chwili ta twarz starego żołnierza, o szlachetnych, spokojnych rysach, uległa w mych oczach rozkładowi, skażona przez podstępna chytrność, przez wstrętą ostrożność, przez rozpaczliwy strach. Powstrzymał się od krzyku.

– Szszsz! Co robią teraz tam w dole? – zapytał wskazując na podłogę z niesłychaną ostrożnością w głosie i ruchu. Ponury błysk zrozumienia ukazał mi nagle, co znaczy właściwie ta ostrożność; przejął mię wstręt do własnej przenikliwości.

– Śpią – odpowiedziałem śledząc go bacznie. Otóż to. Chciał właśnie to usłyszeć; było to jedyne słowo, które mogło go uspokoić. Odetchnął głęboko.

– Szszsz! Spokojnie, spokojnie. Jestem w tym kraju jak u siebie. Znam te bestie. Po łbie pierwszego, który się ruszy! Takie ich mnóstwo, a statek nie utrzyma się na wodzie dłużej niż dziesięć minut. – Zaczął znów głośno dyszeć. – Bywaj! – wrzasnął nagle i ciągnął dalej jednostajnym krzykiem: – Zbudzili się wszyscy – miliony ich, miliony! Tratuja mnie! Czekaście, ach, czekaście! Będę ich rozgniatł kupami, jak muchy! Czekaście na mnie! Ratunku! Ra-tun-ku!

Przeciągłe wycie bez końca dopełniło mojej porażki. Widziałem z dala, jak ranny podniósł żałośnie obie ręce do obandażowanej głowy; sanitariusz w fartuchu sięgającym po brodę ukazał się w głębi sali; widać go było jakby przez odwrócony teleskop. Uznałem się za bezwzględnie pokonanego i, nie zwlekając dłużej, uciekłem na zewnętrzną galerię wychodząc przez jedno z długich okien. Wycie ścigało mię jak zemsta. Skręciłem na puste schody i nagle zapanowały wokół spójność i cisza; szedłem po nagich, połyskliwych stopniach wśród milczenia, które mi pozwoliło zebrać rozproszone myśli. Na dole spotkałem jednego ze szpitalnych chirurgów; przechodził przez podwórze i zatrzymał mię.

– Odwiedzał pan swego człowieka, co, kapitanie? Chyba jutro go wypuścimy. Tylko że te bałwany nie wiedzą, jak się potem należy zachować! – Wie pan, mamy tu pierwszego mechanika, który był na tym statku z pielgrzymami. Ciekawy wypadek. *Delirium tremens* najgorszego rodzaju. Pił na umór trzy dni w szynku tego Greka czy Włocha. Musiało się tak skończyć. Dzień w dzień cztery butelki tej tam ich wódki, jak mi mówiono. Nadzwyczajne, jeśli to prawda. Ten człowiek ma chyba wewnątrz z hartownego żelaza. Przytomności oczywiście ani śladu, ale co najciekawsze

w tym wszystkim, to pewna metoda w jego majaczeniach. Staram się ją wykryć. Bardzo niezwykle, ta nić logiki w tego rodzaju bredzeniu. Właściwie powinien widzieć węże, ale nic podobnego. Dobre stare tradycje biorą w łeb w dzisiejszych czasach. Tak! Jego – hm – wizje dotyczą płazów. Cha, cha! Doprawdy, mówiąc poważnie, nie pamiętam, aby mi kiedy wypadek *delirium tremens* tak zainteresował. Powinien był umrzeć, uważa pan, po takich libacjach. Oho! twardą ma skórę. A w dodatku spędził dwadzieścia cztery lata między zwrotnikami. Niechże pan doprawdy rzuci na niego okiem. Ten stary opój ma bardzo szlachetną minę. Nie spotkałem nigdy tak niezwyklego człowieka – z punktu widzenia medycznego, oczywiście. No, pójdzie pan?

Przez cały czas ujawniałem zwykle, uprzejme oznaki zaciekawienia, lecz teraz szepnąłem coś z ubolewaniem o braku czasu i uściśniętem mu śpiesznie rękę.

– Panie kapitanie – zawołał za mną – on nie może się stawić na to śledztwo. Jak pan myśli, czy jego zeznania są ważne?

– Ale skądże znowu! – odkrzyknąłem mu z bramy.

## Rozdział szósty

Władze były najwidoczniej tego samego zdania. Śledztwo nie zostało odroczone. Rozpoczęło się w oznaczonym dniu, aby zadośćuczynić prawu, a publiczność uczęszczała nań licznie, gdyż interesowano się sprawą ze względu na jej ogólnoludzki charakter. Nie było żadnej wątpliwości co do faktów, to znaczy co do jednego materialnego faktu. Jakim sposobem „Patna” została uszkodzona, niepodobna było wykryć i trybunał wcale się tego nie spodziewał, a wśród całej publiczności nikogo to nie obchodziło. Ale jak już wspomniałem, wszyscy marynarze z portu byli obecni na sali, a i przedstawiciele nadbrzeżnego handlu zjawili się w komplecie. Świadomie lub też nieświadomie, przybyli pod wpływem ciekawości czysto psychologicznej; spodziewali się jakiejś zasadniczej rewelacji co do siły, potęgi, grozy ludzkich wzruszeń. Oczywiście, nic podobnego nie mogło się ujawnić. Badanie jedynego człowieka, który mógł i chciał poddać się śledztwu, obracało się jałowo naokoło dobrze znanego faktu, a gra w zadawanie pytań była równie pouczająca jak stukanie młotkiem w żelazną skrzynkę, aby się przekonać, co tam jest w środku. Jednakże oficjalne śledztwo nie mogło przebiegać inaczej. Przedmiotem badań nie było zasadnicze: *dlaczego*, ale powierzchowne: *jak* to się stało.

Ów młody człowiek mógłby to wyjaśnić i choć publiczność tylko tym się interesowała, pytania zadawane świadkowi odwoływały go z konieczności od tego, co – według mego zdania na przykład – było jedyną prawdą wartą poznania. Nie można wymagać od urzędowych władz, aby wglądały w stan duszy człowieka – a choćby tylko w stan jego wątroby. Ich sprawą było rozpatrywać skutki i szczerze mówiąc, pierwszy lepszy sędzia pokoju i dwóch asesorów nie nadają się tak bardzo do czegoś innego. Nie chcę przez to powiedzieć, aby to byli durnie. Sędzia wykazywał wielką cierpliwość. Jeden z asesorów, kapitan żaglowca, miał rudawą brodę i odznaczał się pobożnością. Drugim był Brierly. Wielki Brierly. Niejeden z was musiał słyszeć o Wielkim Brierly’u – kapitanie najszykowniejszego statku z linii Blue Star. To właśnie ten.

Wydawał się piekielnie znudzony zaszczytem, który mu narzucono. Nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu, nie spotkał go żaden przykry wypadek ani niefortunny zbieg okoliczności, ani przeszkoda w spokojnym wznoszeniu się w górę; wyglądał na jednego z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie wiedzą nic o braku decyzji, a jeszcze mniej o braku wiary w siebie. Mając trzydzieści dwa lata dostał dowództwo – jedno z najlepszych we wschodnim handlu – i co więcej, bardzo był swym powodzeniem przejęty. Uważał, że jego kariera jest czymś jedynym w świecie, i prawdopodobnie, gdyby go był kto spytał prosto z mostu, wyznałby, że jego zdaniem nie ma w ogóle takiego jak on dowódcy. Wybór padł na właściwego człowieka. Reszta ludzkości, która nie dowodziła stalowym parowcem „Ossa”, robiącym szesnaście węzłów, była godna pożałowania. Brierly ocalił życie wielu ludziom na morzu, ratował nieraz tonące okręty, miał złoty chronometr ofiarowany przez akcjonariuszy i lornetkę z odpowiednim napisem od jakiegoś obcego rządu na pamiątkę tych czynów. Oceniał najdokładniej swoje zasługi i nagrody, które za nie otrzymał. Dostyc go lubiłem, choć wielu z moich znajomych – i to potulnych, dobrodusznych ludzi – nie mogło wprost go znieść. Nie mam żadnych wątpliwości, że uważał się za daleko bardziej wartościowego ode mnie; doprawdy, sam Cesarz Wschodu i Zachodu musiałby się czuć pyłkiem w jego obecności – ale jakoś nie mogłem się zdobyć na prawdziwe uczucie obrzydzenia. Nie pogardzał mną za coś, co było we mnie, co przedstawiałem – czy rozumiecie? Nie wchodziłem w rachubę po prostu dlatego, że nie byłem najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, kapitanem Montague Brierly, dowódcą „Ossy”, że nie posiadałem złotego chronometru z podpisami i oprawnej w srebro lornetki, świadczących o mej doskonałości jako marynarza i o mym niepohamowanym męstwie; że nie miałem dokładnego poczucia swych zasług i należnej mi za nie nagrody, nie mówiąc już o miłości i przywiązaniu czarnego wyżła, które on też posiadał – najpiękniejszego wyżła, jakiego sobie można wyobrazić: nigdy jeszcze równie piękny pies nie ubóstwiał takiego jak Brierly człowieka. Nie ma dwóch zdań, narzucanie

człowiekowi tego wszystkiego było naprawdę drażniące; ale gdy przyszło mi na myśl, że dzielę swój smutny los z tysiącem dwustu milionami mniej lub więcej ludzkich stworzeń, przekonywałem się, iż mogę udźwignąć ciężar dobrodusznej i pogardliwej litości kapitana Brierly ze względu na coś nieokreślonego i pociągającego w tym człowieku. Nigdy nie zdałem sobie sprawy, na czym to polegało, ale były chwile, kiedy mu zazdrościłem. Żądło życia tyle znaczyło dla jego duszy pełnej zadowolenia, co drapanie szpilką po gładkim obliczu skały. To było godne zazdrości. Gdy się przypatrywałem kapitanowi Brierly – siedzącemu obok skromnego sędziego o bladej twarzy, który przewodniczył śledztwu – miałem uczucie, że zadowolenie z siebie Brierly'ego zwraca się ku mnie i ku całemu światu powierzchnią twardą jak granit. Wkrótce potem popełnił samobójstwo.

Nic dziwnego, że sprawa Jima go nudziła, a kiedy rozmyślałem z uczuciem podobnym do trwogi, jak olbrzymią pogardę musi czuć ten człowiek dla młodzieńca poddanego badaniu, Brierly przeprowadzał prawdopodobnie śledztwo we własnej sprawie. Wyrok uznał snadź winę bez okoliczności łagodzących, a skazaniec zabrał z sobą tajemnicę dokonanego przestępstwa skoczywszy w morze. Jeśli się trochę na ludziach rozumiem, chodziło tu z pewnością o rzecz największej doniosłości – o jeden z tych drobiazgów budzących do życia myśl, z którą niepodobna żyć człowiekowi nienawykłemu do takiego towarzystwa. Wiem na pewno, że nie wchodziły tu w grę pieniądze ani nadużycie trunków, ani kobieta. Skoczył ze statku w morze zaledwie w tydzień po ukończonym śledztwie, a w niecałe trzy dni po opuszczeniu portu w drodze na Wschód; jak gdyby właśnie w tym miejscu wśród oceanu spostrzegł nagle wrota tamtego świata rozwarte na swoje przyjęcie.

Nie stało się to jednak pod wpływem nagłego porywu. Siwowłosy oficer Brierly'ego, marynarz, pierwszorzędny, bardzo miły w obejściu z obcymi, lecz w stosunku do swego komendanta najoprzykrzywszy oficer, jakiego spotkałem, opowiedział mi tę całą historię ze łzami w oczach. Podobno, kiedy przyszedł na pokład nad ranem, Brierly pisał w kajucie nawigacyjnej.

– Była wtedy czwarta za dziesiąt – mówił oficer – a środkowa wachta jeszcze się, naturalnie, nie skończyła. Kapitan usłyszał, jak mówiłem na mostku do drugiego oficera, i zawołał mnie. Poszedłem bardzo niechętnie; powiem panu całą prawdę – nie mogłem znieść biednego kapitana Brierly. Mówię to panu ze wstydem; nie wiadomo nigdy, co tkwi w człowieku. Wyprzedził w swej karierze zbyt wielu ludzi, nie licząc mnie samego, i miał taki jakiś przekłety zwyczaj wytykania człowiekowi jego małości, choćby tylko przez sposób, w jaki mówił dzień dobry. Nie zwracałem się do niego nigdy, chyba tylko w kwestiach służbowych, a wówczas robiłem, co mogłem, aby utrzymać język za zębami. (Pochlebiał sobie. Dziwiłem się często, jak Brierly mógł znieść jego maniery dłużej niż przez połowę podróży). Mam żonę i dzieci – ciągnął – i dziesięć lat byłem w spółce, spodziewając się zawsze, że dostanę następne wakujące dowództwo; byłem głupi. A więc mówi on do mnie w te słowa tym swoim nadętym głosem: „Niech pan tu wejdzie, panie Jones, niech pan tu wejdzie”. No więc wszedłem. „Oznaczmy pozycję statku” – mówi dalej, nachylając się nad mapą z cyrklem w ręku. Według obowiązujących przepisów oficer opuszczający pokład byłby to zrobił przy końcu swej wachty. Jednak nic nie odrzekłem i przypatrywałem się, jak znaczył położenie statku drobniutkim krzyżykiem, wpisując datę i godzinę. Widzę go jeszcze w tej chwili, gdy pisze porządnymi literkami: siedemnaście, osiem, czwarta A. M.<sup>8</sup> Rok był zawsze napisany czerwonym atramentem u góry mapy. Kapitan Brierly nie używał nigdy swych map dłużej niż rok, gdzieżby zaś. Mam teraz tę mapę. Kiedy skończył, nie poruszył się wcale i patrzył na zrobiony znaczek uśmiechając się do siebie, po czym spojrzał ku mnie w górę: „Jeszcze trzydzieści dwie mile tego kursu – mówi – i wszystko w porządku; będzie pan mógł zmienić kierunek o 20 stopni na południe”.

Właśnie wtedy mijaliśmy Hector Bank od północy. Mówię mu: „Tak, panie kapitanie”, dziwiąc się, dlaczego się o to kłopotce, i tak musiałem go wezwać przed zmianą kursu. Akurat wówczas dzwon uderzył osiem razy; wyszliśmy na mostek i drugi oficer, jak zwykle przed odejściem, oznajmił:

<sup>8</sup> A. M. – skrót od łac. *ante meridiem* (przed południem), używany powszechnie w jęz. angielskim. [przypis edytorski]

„Siedemdziesiąt jeden na logu”. Kapitan Brierly rzucił okiem na kompas i rozejrzał się wkoło. Było ciemno i pogodnie, widać było wszystkie gwiazdy tak wyraźnie jak w mroźną noc na wysokich szerokościach geograficznych. Nagle mówi jak gdyby z lekkim westchnieniem: „Idę na rufę i sam dla pana ustawię wskazówkę logu na zero, żeby nie było żadnej pomyłki. Trzydzieści dwie mile jeszcze na tym kursie i jest pan bezpieczny. Zobaczmy – poprawka logu wynosi sześć procent *in plus*<sup>9</sup>, więc, powiedzmy, jeszcze o trzydzieści mil w tym kierunku i może pan zmienić kurs o dwadzieścia stopni na stronę podwietrzną. Nie trzeba tracić na dystansie, prawda?” Nie słyszałem nigdy, aby mówił jednym ciągiem tak długo i to zupełnie bez celu, jak mi się wydało. Nic nie odpowiedziałem. Zszedł po drabinie, a pies, który włóczył się wszędzie za kapitanem, gdziekolwiek się ten ruszył w nocy czy we dnie, zsunął się za nim nosem naprzód. Słyszałem odgłos obcasów: tup, tup, na tylnym pokładzie; kapitan się zatrzymał i rzekł do psa: „Wracaj, Korsarz. Na mostek, stary! No, dalej, marsz!” Potem zawołał do mnie z ciemności: „Panie Jones, niech no pan zamknie psa w kajucie nawigacyjnej, dobrze?”

Słyszałem wówczas jego głos po raz ostatni, panie kapitanie. To były ostatnie słowa, które powiedział i które usłyszała żyjąca istota ludzka. – Tu głos starego stał się niepewny. – Bał się, żeby biedne zwierzę za nim nie skoczyło, rozumie pan? – ciągnął z drzeniem. – Tak, panie kapitanie. Nastawił dla mnie log; i – czy pan uwierzy? – wpuścił do niego kroplę oliwy. Oliwiarka leżała tam, gdzie ją zostawił, obok logu. O wpół do szóstej pomocnik bosmana wyciągnął na rufę węża, aby myć pokład, ale wkrótce rzucił węża i wbiegł na mostek. – „Panie Jones, może pan przyjdzie na rufę – mówi. – Taka tam jest dziwna rzecz. Wołę jej nie dotykać”. Był to złoty chronometr kapitana Brierly, przywiązany starannie łańcuszkiem do poręczy.

Gdy tylko moje oczy na niego padły, coś mnie tknęło i już wiedziałem, panie kapitanie. Nogi się ugięły pode mną. Jakbym go widział wyskakującego za burtę; i mogłem powiedzieć, jak daleko pozostał w tyle. Log na rufie pokazywał osiemnaście mil i trzy czwarte, a naokoło głównego masztu brakowało czterech żelaznych kołków. Włożył je pewno do kieszeni, żeby pójść na dno; ale, Boże wielki, cóż to jest cztery nagle<sup>10</sup> dla człowieka o tak potężnej budowie jak kapitan Brierly! Może jego wiara w siebie zachwiała się trochę w ostatnich czasach. Jedyna to oznaka braku równowagi, którą ujawnił w ciągu całego życia, jak sądzę; a gotów jestem ręczyć, że kiedy znalazł się w morzu, nie usiłował płynąć ani przez chwilę – gdyby zaś wypadł za burtę niechący, byłby miał dosyć odwagi, żeby na chybił trafił utrzymać się przez cały dzień na powierzchni. Tak, panie kapitanie. On nie ustępował nikomu – jak to raz powiedział do samego siebie, co na własne uszy słyszałem. Napisał dwa listy podczas nocnej wachty, jeden do spółki, a drugi do mnie. Dawał mi tam mnóstwo wskazówek co do podróży – choć pracowałem w swoim zawodzie, kiedy go jeszcze nie było na świecie – i instrukcje bez końca, jak mam postępować z naszą zwierzchnością w Szanghaju, aby zachować dla siebie dowództwo „Ossy”. Pisał jak ojciec do ukochanego syna, panie kapitanie, a ja byłem starszy od niego o dwadzieścia pięć lat i zakosztowałem słonej wody, kiedy on jeszcze koszulę w zębach nosił. W liście do armatorów – nie zakleił go, abym mógł przeczytać – pisał, że spełniał zawsze wszystkie swoje względem nich obowiązki – aż do tej chwili – a nawet i teraz nie zawiódł ich zaufania, ponieważ zostawia okręt najtęższemu marynarzowi, jakiego mogą znaleźć – mówiąc o mnie, panie kapitanie, mówiąc o mnie! Pisał dalej, że jeśli ostatni jego postępek nie pozbawi go w ich oczach całego szacunku, to ocenią należycie moją wierną służbę i jego gorące polecenie, gdy będą obsadzali miejsce opróżnione przez jego śmierć. I jeszcze dużo więcej rzeczy w tym sensie, panie kapitanie. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. I tak dziwnie mi było – ciągnął stary już zupełnie rozklejony, rozgniatając coś w kąciku oka końcem wielkiego palca szerokiego jak szpachla. – Wyglądało na to, panie kapitanie, że skoczył za burtę tylko po to, aby dać pechowcowi ostatnią sposobność do wybicia się. Tak mną wstrząsnęła ta jego nagła, okropna śmierć, a przy tym i myśl, że zrobiłem przez to

<sup>9</sup> *in plus* (łac.) – na plus. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *nagel* (niem.) – gwóźdź, kołek. [przypis edytorski]

kariere! Przez tydzień chodziłem jak kołowaty. Ale nic z tego! Kapitan „Pelionu” został przeniesiony na „Osse” – wsiadł na statek w Szanghaju – taki mały fircyk w popielatym garniturze w kratki, z rozdziałkiem przez środek głowy. „Hm... jestem, hm... pańskim nowym kapitanem, panie, panie... hm, Jones”. Tonął w perfumach, po prostu cuchnął perfumami. Tak mi się coś zdaje, że jękał się pod wzrokiem, który w nim utkwiałem.

Szepnął coś o moim zrozumiałym rozczarowaniu – lepiej, żebym się dowiedział od razu, iż jego starszy pomocnik dostał dowództwo „Pelionu” – on sam nie miał z tym naturalnie nic wspólnego – prawdopodobnie w biurze orientują się najlepiej – przykro mu, że... A ja na to: „Co tu gadać o starym Jonesie, panie kapitanie, on jest, psiakrew, tego zwyczajny”. Spostrzegłem od razu, że obraziłem jego subtelne uszy, a gdyśmy siedzieli razem przy pierwszym lunchu, zaczął w brzydki sposób czepiać się to tego, to owego na okręcie. Nie słyszałem jeszcze nigdy tak błazeńskiego głosu. Zacisnąłem zęby, wbiłem oczy w talerz i trzymałem język za zębami tak długo, jak mogłem to ścierpieć, w końcu jednak musiałem coś odpowiedzieć; a ten, jak się nie zerwie, jak nie najeży tych swoich ładnych piórek, niby walczący kogucik: „Przekona się pan, że nie z kapitanem Brierly ma pan do czynienia!” – „Już się przekonałem” – ja na to; posępnie mi było na duszy, ale udawałem, że bardzo jestem zajęty swoim kotлетem. „Stary gbur z pana, panie – tego – Jones; i co więcej, wszyscy wiedzą dobrze o tym” – skrzeknął do mnie. Pomywacze, psiakrew, stali naokoło słuchając z gębami rozdziawionymi od ucha do ucha. „Może i mam twardą skórę – odpowiadam – ale nie do tego stopnia, żeby znieść widok pana siedzącego na miejscu kapitana Brierly”. Co rzekłszy, składam nóż i widelec. „Pan sam chciałby na nim siedzieć, ot co w trawie piszczy!” – zaszydził.

Wyszedłem z kajuty, zebrałem swoje graty i znalazłem się na bulwarze z całym dobytkiem u nóg, zanim ładownicy okrętowi zabrali się znów do roboty. Tak. Bez pracy – na brzegu – po dziesięciu latach służby, a o sześć tysięcy mil biedna kobiecina i czworo dzieci czekały na moją pensję, żeby mieć co do ust włożyć. Tak, panie kapitanie! Kopnąłem to, żeby nie słuchać, jak wymyślają na kapitana Brierly. Zostawił mi swoją nocną lornetkę – oto jest; i życzył sobie, abym się zaopiekował jego psem – oto on. Pójdź tu, Korsarz – biedna psina. Gdzie jest kapitan, Korsarz? – Pies spojrział na nas w górę posępnymi żółtymi oczami, szczeknął żałośnie i wczółgał się pod stół.

Wszystko to się działo przeszło dwa lata później, na pokładzie tego morskiego grata „Królowej Ognia”, której dowództwo Jones dostał – także dziwnym przypadkiem – od Mathersona (nazywano go ogólnie szalonym Mathersonem) – tego samego, który włóczył się często po Haifongu, pamiętacie, jeszcze przed okupacją. Staruszek mówił dalej, pociągając nosem:

– Tak, proszę pana, o kapitanie Brierly będzie się tu zawsze pamiętało, nawet jeśli go gdzie indziej zapomną. Napisałem obszerny list do jego ojca i nie dostałem ani jednego słowa odpowiedzi – ani: dziękuję, ani: idź do diabła – nic! Może woleli o tym wcale nie wiedzieć.

Widok starego Jonesa we łzach, obcierającego łysą głowę czerwoną bawełnianą chustką, żalose szczekanie psa, niechlujstwo tej rojącej się od much kabiny, która była jedynym relikwiarzem wspomnień o Brierly’em – wszystko to rzuciło zasłonę niezmiernie pospolitego tragizmu na pamiętną mi jego postać; była to pośmiertna zemsta losu za tę jego wiarę w swoją doskonałość, wiarę, która go prawie że pozbawiła uzasadnionej grozy życia. Prawie! A może i zupełnie. Bo któż może wiedzieć, do jakiego stopnia pochlebiał Brierly’emu własny sąd o zamierzonym samobójstwie?

– Dlaczego on popełnił to szaleństwo, jak pan to sobie wyobraża, kapitanie? – zapytał Jones składając ręce. – Dlaczego? To niepojęte! Dlaczego? – Uderzył się po niskim i pomarszczonym czole. – Gdyby był biedny i stary, i zadłużony, gdyby mu się nie powiodło w życiu albo gdyby był zwariował! Ale on nie należał do tych, co wariują – nic podobnego. Może mi pan wierzyć. Czego pomocnik nie wie o swoim szyprze, tego w ogóle wiedzieć nie warto. Młody, zdrowy, bogaty, żadnych kłopotów... Siedzę tu czasem i myślę, i myślę, aż głowa mi pęka. On miał jakiś powód do tego.

– Może pan być pewien, kapitanie, że ten jakiś powód nie byłby tak bardzo obszedł ani mnie, ani pana – rzekłem; i nagle biedny stary Jones znalazł na koniec słowo zdumiewającej mądrości, jakby mu coś zaświtało w mętnej mózgowicy. Wytarł nos i rzekł kiwając boleśnie głową:

– Tak, tak! Ani pan, ani ja, kapitanie, nigdyśmy tyle o sobie nie trzymali.

Wspomnienie mej ostatniej rozmowy z Brierly'm zabarwione jest, naturalnie, świadomością jego śmierci, która nastąpiła tak krótko potem. Mówiłem z nim ostatni raz podczas tej sprawy toczącej się w sądzie, po pierwszym posiedzeniu, kiedyśmy wyszli razem na ulicę. Był podrażniony, co zauważyłem ze zdziwieniem, ponieważ zwykle, gdy raczył rozmawiać, zachowywał się spokojnie z odcieniem żartobliwej wyrozumiałości, jakby istnienie jego interlokutora było czymś w rodzaju dobrego kawału.

– Naciągnęli mnie na to śledztwo, jak pan widzi – zaczął i rozwodził się nad tym przez chwilę, żaląc się na niewygodę codziennego przebywania w sądzie. – I Bóg wie, jak długo to jeszcze będzie trwało. Pewnie ze trzy dni. – Wysłuchałem go w milczeniu, co według mnie jest równie dobrym sposobem imponowania jak każdy inny. – I po co to wszystko? To najgłupsza historia, jaką sobie można wystawić – ciągnął zapalczywie. Zwróciłem mu uwagę, że nie miał tu wyboru. Przerwał mi z pewnego rodzaju hamowaną gwałtownością: – Czuję się przez cały czas jak głupi. – Podniosłem na niego oczy. Posunął się bardzo daleko jak na Brierly'ego, który mówił o Brierly'm. Zatrzymał się, chwycił mię za klapę marynarki i z lekka pociągnął. – Dlaczego my dręczymy tego młodzika? – rzekł. Pytanie to pokrywało się tak zupełnie z myślą, która wciąż mi chodziła po głowie, że odpowiedziałem natychmiast, mając na oczach uciekającego renegata:

– Nie mam zielonego pojęcia – chyba dlatego, że się dręczyć pozwala.

Zdumiało mnie, iż pojął w lot, co chciałem powiedzieć, choć moja myśl powinna była mu się wydać dość niejasna. Rzekł gniewnie:

– No, naturalnie. Czyż on nie widzi, że się ten nędznik ulotnił, ten jego szyper? Na co on właściwie czeka? Nic go nie może ocalić. To człowiek zgubiony. – Uszliśmy kilka kroków w milczeniu. – Po co karmią nas tym całym brudem? – wykrzyknął ze wschodnią energią wyrazu – prawie jedynym rodzajem energii, której ślady można napotkać na wschód od pięćdziesiątego południka.

Zdziwił mię kierunek jego myśli, ale teraz mocno podejrzewam, że to, co mówił, odzwierciedlało stan jego psychiki; w głębi ducha biedny Brierly musiał myśleć o sobie samym. Zaznaczyłem, iż szyper „Patny” porósł w pierze – co było ogólnie znane – i mógł prawie wszędzie zdobyć środki na podróż. Z Jimem było inaczej; rząd trzymał go na razie w Domu Marynarza, ale chłopak nie miał pewnie w kieszeni złamanego szeląga. Ucieczka przecież zawsze kosztuje.

– Czy doprawdy? Nie, nie zawsze – rzekł śmiejąc się gorzko i dodał w odpowiedzi na jakąś moją uwagę: – No więc, niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie! Dalibóg! *Ja* bym tak zrobił. – Nie wiem, dlaczego ton jego słów mię podrażnił. Rzekłem:

– Jest w tym pewna odwaga, iż stawia czoło temu wszystkiemu, wiedząc bardzo dobrze, że gdyby się stąd zabrał, nikomu by się nie śniło za nim gonić.

– Do diabła z odwagą! – warknął Brierly. – Ten rodzaj odwagi jest do niczego, jeśli chodzi o utrzymanie pewnej linii w życiu, i tyle o nią dbam co o zeszloroczny śnieg. Gdyby mi pan powiedział, że gra tu rolę pewne tchórzostwo, miękkość charakteru... Wie pan co, złożę dwieście rupii, jeśli pan doda do nich jeszcze sto i postara się, żeby ten chłopiec zwiął jutro wczesnym rankiem. Pomimo wszystko jest jednak dżentelmenem – on to zrozumie. Musi zrozumieć! Ta piekielna sprawa toczy się publicznie i zbyt jest gorsząca. On siedzi tam, a ci wszyscy przekłeci krajowcy, serangowie<sup>11</sup>, laskarowie<sup>12</sup>, podoficerowie składają takie zeznania, że człowiek pali się po prostu ze wstydu. To jest ohydne. Więc pan nie uważa tego za ohydne, więc pan tego nie czuje? Gdyby zwiął, wszystko by się urwało od razu.

---

<sup>11</sup> *serang* (z hind.) – tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *laskar* – indyjski marynarz. [przypis edytorski]

Brierly wypowiedział to z wyjątkowym wprost ożywieniem i zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po portfel. Powstrzymałem go i oświadczyłem zimno, że tchórzostwo tych czterech ludzi nie wydaje mi się sprawą tak wielkiego znaczenia.

– I pan ma siebie za marynarza, o ile mi się zdaje – wyrzekł gniewnie.

Odpowiedziałem, że właśnie za takiego siebie uważam, i sędzę, że nim jestem. Wysłuchał mię i machnął wielką ręką, jakby mię pozbawiał indywidualności, jakby mię spychał w tłum.

– To jest najgorsze – rzekł – że wy wszyscy nie macie poczucia godności; nie dość myślicie o tym, za co was ludzie uważają.

Rozmawialiśmy idąc powoli i przystanęliśmy właśnie naprzeciw biura portowego widząc jak na dłoni miejsce, skąd olbrzymi kapitan „Patny” znikł tak zupełnie, jakby był drobnym piórkiem porwanym przez huragan. Uśmiechnąłem się. Brierly ciągnął dalej:

– To jest haniebne. Są tu wśród nas ludzie różnych kategorii, między innymi także i skończone łotry; ale musimy, do diabła, zachować jakąś zawodową przyzwoitość, bo inaczej staniemy się bandą partaczy wałęsających się bez ładu i składu. Ufają nam. Czy pan to rozumie? – ufają! Mówiąc szczerze, nic a nic mnie nie obchodzą wszyscy pielgrzymi, jacy kiedykolwiek z Azji wywędrowali, ale porządny człowiek nie postąpiłby tak nawet z ładunkiem starych gałganów powiązanych w bele. My, ludzie morza, nie jesteśmy grupą zorganizowaną i jeśli co nas łączy, to jedynie to słowo, którym określamy pewien rodzaj przyzwoitości. A taka sprawa niszczy w człowieku zaufanie. Można przeżyć prawie całe życie na morzu i nie mieć ani razu sposobności do okazania się niezłomnym. Ale gdy przyjdzie wyzwanie... Ach!... Gdybym ja... – Urwał i rzekł innym tonem: – Dam panu dwieście rupii i niechże pan z tym chłopcem pomówi. Do diabła! Byłbym wolał się z nim nie spotkać. Zdaje mi się doprawdy, że moi krewni znają jego rodzinę. Jego ojciec jest duchownym i przypominam sobie, że spotkałem go raz, gdym był zeszłego roku w Essex u mego kuzyna. Jeśli się nie mylę, starszek zdawał się mieć słabość do swego syna, marynarza. Okropne. Ja sam nie mógłbym mu tego zaproponować, ale pan...

I tak, w związku ze sprawą Jima, ujrzałem na chwilę Brierly'ego w prawdziwym świetle, na kilka dni przedtem, zanim powierzył morzu swoją prawdę i swoją maskę. Naturalnie, że odmówiłem mu pośrednictwa. Podrażnił mię ton, jakim powiedział: „ale pan...” (biedny Brierly przybierał ów ton bezwiednie) – jakby dawał do zrozumienia, iż znacząco tyle co robak; toteż odniosłem się z oburzeniem do jego propozycji – i z tego właśnie powodu czy też dla jakiejś innej przyczyny powzięłem przekonanie, że śledztwo stanowi surową karę dla Jima, a jego obecność w sądzie – istotnie z własnej woli – jest rysem odkupiającym w ohydnej jego sprawie. Przedtem nie byłem tego tak bardzo pewien. Brierly odszedł obrażony. W owym czasie stan jego duszy stanowił dla mnie większą zagadkę aniżeli teraz.

Nazajutrz przyszedłem późno do sądu i siedziałem sam. Nie mogłem oczywiście zapomnieć naszej rozmowy z Brierly'm, a teraz miałem ich obu przed oczami. Zachowanie jednego wyglądało na posępną bezczelność, drugi zaś ujawniał pogardę i nudę; ale postawa Jima mogła być równie nieszczerą jak zachowanie Brierly'ego, o którym wiedziałem na pewno, że szczerze nie jest. Brierly nie nudził się bynajmniej, lecz był rozjątrzony, więc może i Jim nie był bezczelny. Według mnie bezczelny nie był. Odniosłem wrażenie, że jest w beznadziejnej rozpacz. Wówczas to spotkały się nasze oczy. Spotkały się i spojrzenie Jima odebrało mi wszelką ochotę do rozmowy z nim – jeśli ją w ogóle miałem. Tak czy owak – czy Jim był bezczelny, czy też zrozpaczony – czułem, że mu się na nic przydać nie mogę. Działo się to w drugim dniu sprawy sądowej. Wkrótce po tej zamianie spojrzeń posiedzenie zostało znów odroczone do następnego dnia. Biali zaczęli zaraz tłumnie opuszczać salę. Jimowi polecono już chwilę przedtem zejść z podium, tak że mógł się wysunąć jeden z pierwszych. Dostrzegłem zarys jego barczystych pleców i głowy w świetle otwartych drzwi, a gdy kierowałem się powoli ku wyjściu, rozmawiając z jakimś nieznanym, który zwrócił się do mnie przypadkiem, widziałem z sali sądowej, jak Jim stał oparty obu łokciami o balustradę werandy, zwrócony tyłem

do niewielkiego strumienia publiczności spływającego po paru stopniach. Słysząc było gwar głosów i szelest nóg.

Następna sprawa tyczyła się pobicia, napaści na jakiegoś lichwiarza, o ile mi się zdaje, i pozwany – czcigodny wieśniak z prostą, białą brodą – siedział na macie przed samymi drzwiami w otoczeniu synów, córek, zięciów, ich żon i – jak sądzę – połowy ludności z jego osiedla, stojącej lub siedzącej w kucki naokoło niego. Smukła kobieta o ciemnej cerze, obnażonych częściowo plecach i nagim, czarnym ramieniu, z cienkim złotym kółkiem w nosie, zaczęła nagle coś mówić wysokim, zręczącym głosem. Człowiek idący koło mnie spojrzał na nią machinalnie. Przeszliśmy wtedy właśnie przez próg mijając szerokie plecy Jima.

Czy to właśnie owi wieśniacy przyprowadzili z sobą złotego psa, nie umiem powiedzieć. W każdym razie był tam pies; snuł się wciąż tam i z powrotem między nogami, w niemy, skradający się sposób, charakterystyczny dla psów tamtejszych – i mój towarzysz potknął się o niego. Pies uskoczył w bok milczkiem, a człowiek rzekł głosem trochę podniesionym śmiejąc się z lekka: „Niech pan spojrzy na tego nędznego psa” – po czym prąd ludzi pchających się do sali rozdzielił nas natychmiast. Oparłem się na chwilę o ścianę, a nieznajomy zdołał dotrzeć do schodów i znikł. Widziałem, że Jim odwrócił się gwałtownie. Zrobił krok naprzód i zagroził mi drogę. Byliśmy sami; patrzył we mnie z nieugiętym postanowieniem. Zrozumiałem, iż jestem napadnięty, jak gdyby w lesie. Weranda już się opróżniła, hałas i ruch na dziedzińcu ustały; wielka cisza ogarnęła budynek, w którym daleko, gdzieś w głębi, jakiś głos o wschodnim brzmieniu zaczął użalać się natrętnie. Pies, usiłujący właśnie prześliznąć się przez drzwi, siadł śpiesznie i jął sobie wygryzać pchły.

– Czy pan do mnie mówił? – spytał Jim bardzo cicho i pochylił się naprzód, nie ku mnie, ale na mnie, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

Odrzekłem „nie” – natychmiast. Coś w dźwięku tego spokojnego głosu ostrzegło mię, abym się miał na baczności. Śledziłem Jima. Było to bardzo podobne do spotkania w lesie, tylko wynik tego spotkania był bardziej niepewny, ponieważ Jimowi nie mogło chodzić o moje życie ani też pieniądze – o nic, co bym mógł mu po prostu oddać lub czego bym bronił z czystym sumieniem.

– Pan twierdzi, że pan się do mnie nie odzywał – rzekł bardzo ponuro. – Ale ja słyszałem.

– To jakaś pomyłka – odparłem nie mając pojęcia, co o tym myśleć, i nie przestając patrzeć na Jima.

Śledziłem jego twarz, jak gdybym śledził niebo ciemniejące przed uderzeniem piorunu, gdy mierzchnie stopniowo, nieuchwytnie, a mrok pogłębia się tajemniczo wśród ciszy dojrzewającego wybuchu.

– O ile wiem, nigdy przy panu ust nie otworzył – odrzekłem, co było najzupełniejszą prawdą.

Bezsens tego spotkania zaczynał mię trochę złościć. Przychodzi mi na myśl teraz, iż nigdy w życiu nie byłem tak bliski bójki – dosłownie: bójki na pięści. Miałem chyba jakieś mgliste przecucie, że ta ewentualność wisi w powietrzu, choć Jim nie groził mi bynajmniej. Przeciwnie, zachowywał się z dziwną biernością – ale wyglądał ponuro i choć nie był wyjątkowo rosty, sprawiał wrażenie, jakby mógł ścianę rozwalić. Najbardziej uspokajającą oznaką, jaką w nim zauważyłem, było coś w rodzaju powolnego, głębokiego namysłu. Musiał chyba odczuć szczerą w moim głosie i zachowaniu. W sądzie sprawa o napad szła swoim trybem. Pochwyciłem słowa: „No więc – bawo! – kij – przejęty okropnym strachem...”

– Co pan sobie właściwie myślał, żeby się tak na mnie gapić przez całe rano? – rzekł Jim nareszcie. Podniósł na mnie wzrok i spuścił go znowu.

– A pan się spodziewał, że będziemy wszyscy siedzieli ze spuszczonej oczami ze względu na pańską drażliwość? – odparłem ostro. Nie myślałem poddawać się potulnie jego wybrykom. Spojrzał znów na mnie i tym razem wzroku nie spuścił patrząc mi prosto w twarz.

– Tak, to prawda – wyrzekł, jakby rozmyślając nad słusznością mej odpowiedzi – to prawda. Ja to znieść potrafię. Tylko – tu zaczął mówić trochę prędzej – nie pozwolę, aby mi ktokolwiek wymyślał

poza obrębem sądu. Z panem był jakiś człowiek. Pan mówił do niego – o tak – wiem z pewnością; wszystko to bardzo pięknie. Pan mówił do niego, ale pan chciał, żebym ja to usłyszał...

Zapewniłem go, że jest pod wpływem jakiegoś złudzenia. Nie miałem pojęcia, skąd to wynikło.

– Pan myślał, że nie będę śmiał na to zareagować – rzekł z ledwo dosłyszalną goryczą.

Ponieważ mnie to zajmowało, rozróżniałem najlżejsze odcienie w mowie Jima, nic jednak nie rozumiejąc. Ale coś szczególnego w jego słowach – może ich ton właśnie, skłonił mnie do jak największej wyrozumiałości. Przestałem się złościć na tę kłopotliwą niespodziankę. Było to jakieś nieporozumienie. Jim się widocznie pomylił i doznałem wrażenia, że to jest jakaś ohydna nieszczęsna pomyłka. Pragnąłem końca tej sceny ze względu na przyzwoitość, tak jak się pragnie uciąć jakieś niepowołane, wstrętne zwierzenia. A co najdziwniejsze, wśród rozważań wyższego rzędu zdawałem sobie sprawę z pewnego rodzaju strachu przed możliwością – nawet prawdopodobieństwem – że ta przykra historia skończy się jakąś niesławną burdą, której niepodobna będzie wytłumaczyć i która mnie ośmieszy. Nie wzdychałem za trzydniową sławą jak ów człowiek, któremu oficer z „Patny” podbił oko czy nabił guza – poturbował go, jednym słowem. Jim prawdopodobnie nie dbał o to, co robi, a w każdym razie uważałby się za usprawiedliwionego we własnych oczach. Nawet i dziecko by poznało, że był wściekle zły z jakiejś przyczyny, choć zachowywał się spokojnie, a nawet obojętnie. Nie ukrywam, iż pragnąłem niezmiernie uspokoić go za wszelką cenę – ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Byłem jak w mroku bez najlżejszego światełka. Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Przytaił się przez jakich piętnaście sekund, po czym zbliżył się o krok, a ja się przygotowałem do odparcia ciosu, choć sądzę, że żaden muskuł mi nie drgnął.

– Nawet gdyby pan był olbrzymem i miał siłę sześciu ludzi – rzekł bardzo cicho – to i tak powiedziałbym panu, co o nim myślę. Pan...

– Przestań pan! – krzyknąłem. To go zatrzymało na chwilę. – Zanim pan powie, co o mnie myśli – ciągnąłem szybko – może zechce mnie pan łaskawie poinformować, co ja takiego powiedziałem czy też zrobiłem?

Nastąpiła pauza; Jim patrzył na mnie oburzony, a ja wyteżalem pamięć z nadludzkim wysiłkiem, w czym mi przeszkadzał głos o wschodnim brzmieniu w sali sądowej, protestujący płynnie, a beznamytnie przeciw oskarżeniu o fałsz. Zaczęliśmy mówić prawie jednocześnie:

– Pokażę panu zaraz, że nie jestem taki, jak pan myśli – rzekł, a jego ton groził wybuchem.

– Oświadczam, że nie wiem, o czym pan mówi – jednocześnie zapewniałem poważnie. Usiłował mnie zmiażdżyć pogardą swego wzroku.

– A teraz, kiedy pan widzi, że się pana nie boję, niech się pan stara z tego wyplątać – rzekł. – Któż to miał być tym psem – co? – zapytał. Na koniec zrozumiałem, o co mu chodzi.

Oglądał mi twarz, jakby szukał, gdzie ma pięść umieścić.

– Nie pozwolę nikomu... – mruknął groźnie.

Była to oczywiście ohydna pomyłka. Nie umiem wam wypowiedzieć, jakie to było dla mnie przykre. Widać zobaczył odbicie mych uczuć na twarzy, bo jego wyraz trochę się zmienił.

– Wielki Boże! – wyjąkałem – pan chyba nie przypuszcza, że ja...

– Przecież słyszałem na własne uszy – upierał się, po raz pierwszy od początku tej opłakanej sceny podnosząc głos. Potem dodał z pewnym lekceważeniem: – A więc to nie pan? Bardzo pięknie; znajdę ja tego drugiego.

– Niechże pan z siebie nie robi durnia – krzyknąłem w rozjątrzeniu – to wcale nie o pana chodziło!

– Ja dobrze słyszałem – powtórzył znów ponuro z nieugiętym uporem.

Może kto inny byłby się roześmiał z tego uporu. Ale ja się nie roześmiałem. O nie! Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który by się tak bezlitośnie zdradzał idąc za pierwszym porywem. Jedno słowo pozbawiło Jima całego opanowania – a opanowanie jest bardziej potrzebne dla naszej duchowej przyzwoitości niżli odzienie dla okrycia ciała.

– Niech pan z siebie nie robi durnia – powtórzyłem.

– A więc to tamten drugi to powiedział – teraz pan nie zaprzeczy? – rzekł wyraźnie, patrząc mi nieugięcie w twarz.

– Nie, temu nie przeczę – odparłem odwzajemniając jego spojrzenie.

Oczy Jima zwróciły się nareszcie w dół – tam, gdzie wskazywałem palcem. Miałem wrażenie, że z początku nie zrozumiał; potem zmieszał się, a w końcu przybrał wyraz zdumienia i przestachu, jakby pies, na którego wskazywałem, był potworem i jakby Jim nigdy przedtem psa nie widział.

– Nikomu się nie śniło pana obrażać – rzekłem.

Wpatrywał się wciąż w to nędzne zwierzę, nieruchome jak posąg; siedziało z nastawionymi uszami i spiczastym pyskiem skierowanym w stronę wejścia; nagle kłapnęło zębami za przelatującą muchą jak automat.

Spojrzałem na Jima. Czerwień jego białej, spalonej cery pogłębiła się nagle pod puchem policzków, ogarnęła czoło, dotarła aż do kędzierzawych włosów. Uszy zabarwiły mu się purpurą i nawet jasny błękit oczu pociemniał wyraźnie od krwi, która mu uderzyła do głowy. Wydał z lekka drżące wargi, jakby miał natychmiast wybuchnąć płaczem. Spostrzegłem, że z nadmiernego upokorzenia nie jest w stanie wymówić ani słowa. Kto wie? a może także i z rozczarowania. Może miał nadzieję, że to lanie, które zamierzał mi sprawić, będzie dla niego jakąś rehabilitacją czy ukojeniem? Skąd można wiedzieć, jakiej się ulgi spodziewał po tej okazji do burdy? Był tak naiwny, że mógł się spodziewać wszystkiego; ale w tym wypadku zdradził się i nic na tym nie zyskał. Był szczerzy względem siebie tak jak i wobec mnie, w szalonej nadziei, że uda mu się w ten sposób odeprzeć skutecznie zarzuty, a los odwrócił się od niego z ironią. Wydał jakiś gardłowy dźwięk, jakby go ogłuszono ciosem w głowę. To było żałosne.

Dopędziłem go aż daleko za bramą. Musiałem nawet w końcu biec za nim, ale gdy, zadyszany, wreszcie się z nim zrównałem i powiedziałem mu, że mi ucieka, rzekł: „Nigdy!”, i odwrócił się natychmiast jak osaczony. Wyjaśniłem, iż nie przyszło mi broń Boże na myśl, że ucieka przede mną.

– Przed nikim... przed nikim na świecie – twierdził uporczywie.

Powstrzymałem się od wytknięcia mu jednego rzucającego się w oczy wyjątku, który by był ciężką próbą dla najodważniejszego z nas; pomyślałem, że i tak bardzo prędko Jim sam to zrozumie. Patrzył na mnie cierpliwie, a ja szukałem w myślach, co mu powiedzieć, lecz nie mogłem nic znaleźć. Ruszył znów naprzód. Szedłem obok niego i bojąc się, aby mi nie uciekł, rzekłem spieszenie, że nie chciałbym za nic w świecie, aby się rozstał ze mną pod fałszywym wrażeniem mego... mojej – zająknąłem się. Przeraziła mnie głupota tych słów i usiłowałem jakoś z tego wybrnąć, ale zewnętrzna siła wypowiedzanych zdań jest czymś oderwanym od ich treści i logicznej budowy – bo moje idiotyczne bąkanie zdawało mu się dogadzać. Przerwał je mówiąc ze spokojem i uprzejmością, które dowodziły niezmiernej siły panowania nad sobą lub też nadzwyczajnej prężności ducha:

– Wszystkiemu winna ta moja pomyłka.

Zdumiało mnie to powiedzenie; tak jakby wspominał o jakimś drobnym zajściu. Czyżby nie rozumiał oplakanego znaczenia tych słów?

– Pan mi chyba wybaczy – dodał i mówił dalej z pewnym rozdrażnieniem: – Wszyscy ci gapiący się ludzie mieli tak głupie miny, że... mogło być tak, jak przypuszczałem.

Spojrzałem na Jima z innej strony. Patrzyłem na niego z zajęciem i napotkałem jego wzrok – nieulekły i nieprzenikniony.

– Nie mogę znieść tego rodzaju rzeczy – rzekł z prostotą – i znosić nie myślę. Co innego w sądzie; tam muszę i mogę to wytrzymać.

Nie twierdzą, że go rozumiałem. Chwile, w których mi się objawiał, były podobne do spojrzeń rzucanych poprzez gęstą, ale ruchomą mgłę – kiedy to odsłaniają się fragmenty, wyraziste i znikające szybko, nie dając pojęcia o ogólnym wyglądzie kraju; budzą ciekawość wcale jej nie zaspokajając, bo nie dają całokształtu widoku. W ogóle trudno mi było rozgryźć Jima. Uświadomiłem to sobie po jego odejściu późnym wieczorem. Zatrzymałem się na parę dni w hotelu „Malabar” i na moje usilne zaproszenie Jim przyszedł do mnie na obiad.

## Rozdział siódmy

Parowiec dążący na Wschód przybył tego popołudnia i wielka jadalnia hotelu była więcej niż w połowie zapełniona ludźmi zaopatrzonymi w stufuntowe bilety podróży naokoło świata. Znajdowały się tam pary małżeńskie jakby zadomowione w nowym otoczeniu i nudzące się z sobą już w środku podróży; małe i duże grupy biesiadników i pojedynczy goście – a wszyscy, jedząc uroczyście lub uczując hałaśliwie, myśleli, rozmawiali, żartowali lub krzywili się, tak jak to przywykli robić u siebie w domu. Co zaś do ich chłonności wrażeń oraz inteligencji – nie przewyższali nią swoich kufrów, co stały w pokojach na górze. Podobnie jak ich bagaże, poznaczeni byli etykietami, które stwierdzały, że przejeżdżali przez takie to a takie miejscowości – i cenili sobie wysoko to wyróżnienie swych osób, zachowując kartki naklejone na walizkach jako udokumentowane świadectwa, jedyny trwałe ślad korzyści wyniesionych z podróży. Ciemnolicy lokaje krzatali się bezszelestnie po przestronnej, gładkiej posadzce; od czasu do czasu rozlegał się śmiech młodej panny, niewinny i pusty jak jej dusza, a gdy brzęk porcelany nagle przycichał, dochodziło kilka słów cedzonych z afekcją przez jakiegoś dowcipnisia popisującego się wałkowaniem ostatniej skandalicznej historii z pokładu wobec szczerzących zęby współbiesiadników. Dwie kocujące stare panny o drewnianych twarzach, wystrojone przesadnie i dziwacznie niby dwa bogato przybrane strachy na wróble, studiowały z cierpką miną jadłospis, szepcząc do siebie zwiędłymi wargami.

Trochę wina otworzyło serce Jima i rozwiązało mu język. Zauważyłem też, że jadł z apetytem. Mogło się wydawać, iż pogrzebał epizod, który zagał naszą znajomość; epizod ten był widocznie czymś, czego nie poruszy się już nigdy na tym świecie. Miałem wciąż przed sobą błękitne, chłopięce oczy patrzące mi prosto w twarz, młode oblicze, szerokie ramiona, otwarte, opalone czoło, białe u nasady wijących się, jasnych włosów – cały jego wygląd przemawiał mi do serca; szczery wyraz, uśmiech pełen prostoty, młodzieńcza powaga. Należał do gatunku porządnych ludzi, był jednym z nas. Mówił trzeźwo, z pewnego rodzaju powściągliwą swobodą, ze spokojem, którego źródłem mogło być męskie opanowanie – albo też bezwstyd, nieczułość, absolutna nieświadomość, niesłychany fałsz. Któż to mógłby odgadnąć? Sądząc po naszym tonie mogliśmy rozmawiać o kimś trzecim, o meczu futbolowym, o zeszłorocznej pogodzie. Nurzałem się w przeróżnych domysłach, aż wreszcie pewien zwrot w rozmowie pozwolił mi zauważyć bez urażenia Jima, że to badanie musiało być na ogół bardzo dla niego przykre. Wyciągnął ku mnie szybko ramię przez obrus i chwycił moją rękę obok talerza, wpijając we mnie oczy. Przestraszyłem się.

- To musiało być strasznie ciężkie – wyjąkałem, zmieszany tym przejawem niemego uczucia.
- To piekło – wybuchnął nagle zduszonym głosem.

Na ów gest i słowa dwóch szykownych obiężyświatów u sąsiedniego stołu podniosło niespokojnie oczy znad mrożonego puddingu. Wstałem i poszliśmy ku frontowej galerii na kawę i cygara.

Stały tam małe ośmiokątne stoliczki z świecami palącymi się w szklanych kloszach; kępy roślin o sztywnych liściach przedzielały grupy wygodnych plecionych foteli; między parami kolumn, których czerwone trzony odbijały długim rzędem światło padające od wysokich okien, noc, ciemna i połyskliwa, zdawała się wisieć niby wspaniała draperia. Światła kotwiczne okrętów mrugały z dala jak zachodzące gwiazdy, a wzgórza z drugiej strony portu były podobne do zaokrąglonych, czarnych gromowych chmur, które stanęły w miejscu.

– Nie mogłem uciekać – zaczął Jim. – Szyper uciekł, to dobre dla niego. Ja nie mogłem i nie chciałem. Wszyscy oni wykęcili się z tego tak czy owak, ale mnie to nie przystoi.

Słuchałem go ze skupioną uwagą, nie śmiać się poruszyć na krześle; chciałem się o nim wszystkiego dowiedzieć – a do dziś dnia nie wiem nic, mogę tylko zgadywać. W jednej i tej samej chwili był ufny i zgnębiony zarazem, jakby jego przekonanie o własnej niewinności tłumilo w nim prawdę chcącą się wydobyć na wierzch. Zaczął od stwierdzenia, że nigdy nie będzie mógł

wrócić do domu; a powiedział to takim tonem, jakby mówił, iż niepodobna mu przeskoczyć przez dwudziestostopową ścianę. Jego oświadczenie przypomniało mi słowa Brierly'ego: „Ten stary pastor w Essex zdawał się mieć słabość do swego syna, marynarza”.

Nie umiem wam powiedzieć, czy Jim wiedział, że ojciec ma słabość do niego, lecz gdy wspominał o „tatusiu”, mówił tonem, który mi dawał do zrozumienia, że ów zacny, stary wiejski pastor jest najwybitniejszym ze wszystkich ludzi, jacy tylko od początku świata obarczeni byli troską o liczną rodzinę. Choć ani razu wyraźnie tego nie mówił, podsuwał mi to z niepokojem, żebym nie miał co do tego wątpliwości; było to rzeczywiście bardzo szczere i pełne wdzięku, lecz dodawało do innych składników tej historii bolesną świadomość o życiu tamtych ludzi, hen, daleko.

– Przeczytał już to wszystko w gazetach tam w kraju – rzekł Jim. – Nigdy nie będę mógł spojrzeć w oczy biednemu staruszkowi. – Nie ośmieliłem się podnieść wzroku, póki nie dodał: – Nie mógłbym mu nigdy wytłumaczyć. Tego by nie zrozumiał.

Spojrzałem na niego. Palił, pogrążony w myślach, a po chwili ocknął się i zaczął znów mówić. Przede wszystkim wyraził pragnienie, abym go nie mieszał z jego współnikami w... w zbrodni, powiedzmy. Nie był taki jak oni; należał do zupełnie innego gatunku. Nie przeczyłem mu. Nie miałem zamiaru w imię jałowej prawdy pozbawiać go choćby najmniejszego okrucchu jakiejś odkupiającej łaski, która by się mogła stać jego udziałem. Nie wiem, do jakiego stopnia sam wierzył w swe słowa. Nie wiem do czego zmierzał – jeśli w ogóle zmierzał do czegokolwiek – podejrzewam, że on sam tego nie wiedział; bo wierzę, iż żaden człowiek nie rozumie nigdy w zupełności swych własnych, chytrych wykrętów mających na celu ucieczkę od ponurego cienia samowiedzy. Nie otwarłem ust ani razu przez cały czas, gdy Jim roztrząsał kwestię: co mu właściwie wypadnie zrobić po ukończeniu „tego idiotycznego śledztwa”.

Widocznie podzielał wzgardliwy pogląd Brierly'ego na postępowanie sądowe nakazane prawem. Wyznał, że nie ma pojęcia, dokąd się zwrócić; tak to wyglądało, jakby raczej głośno myślał, niż do mnie mówił. Świadectwo przepadło, kariera złamana, żadnych pieniędzy, aby się ruszyć z miejsca, żadnych widoków na otrzymanie pracy. W kraju może by się co i znalazło; ale na to trzeba by się zwrócić o pomoc do rodziny, czego zrobić nie chciał. Nie widział innej rady, jak tylko zaciągnąć się na statek w charakterze prostego marynarza – a może mógłby dostać miejsce podoficera na jakim parowcu. Dałby sobie z tym radę...

– Tak pan uważa? – spytałem bezlitośnie.

Zerwał się; podszedł do kamiennej balustrady i patrzył w noc. Po chwili był już z powrotem; stał przy moim krześle, górując nade mną, a jego młodzieńcza twarz, jeszcze była chmurna od bólu pokonanego wzruszenia. Zrozumiał bardzo dobrze, że ja nie wątpię o jego zręczności w sterowaniu okrętem. Zapytał głosem, który drżał z lekka:

– Dlaczego pan to powiedział? Pan był dla mnie taki strasznie dobry. Nawet się pan nie roześmiał, kiedy – i tu zaczął się jąkać – ta pomyłka, rozumie pan, wystrychnęła mnie na dudka. – Przerwałem mu mówiąc dość żywo, że według mnie taka pomyłka nie jest okazją do śmiechu. Usiadł i wypił powoli kawę opróżniając małą filiżaneczkę aż do ostatniej kropli. – To nie znaczy, abym myślał choć przez chwilę, że na to zasłużyłem – oświadczył wyraźnie.

– Nie myśli pan? – rzekłem.

– Nie – potwierdził ze spokojną stanowczością. – A czy pan wie, co pan byłby wówczas zrobił? Wie pan? A przecież pan nie ma siebie za... – przetłknął ślinę – za psa?

I mówiąc to – słowo wam daję – spojrzał na mnie badawczo. Okazało się, że to było pytanie... pytanie *bona fide*<sup>13</sup>. Jednak na odpowiedź nie czekał. Zanim się opamiętałem, ciągnął już dalej z oczami utkwionymi wprost przed siebie, jakby wyczytywał jakiś napis na tle nocy:

---

<sup>13</sup> *bona fide* (łac.) – w dobrej wierze. [przypis edytorski]

– Wszystko polega na tym, żeby człowiek był w pogotowiu. Ja nie byłem w pogotowiu; nie byłem – w tamtej chwili. Nie chcę się usprawiedliwiać; ale tak bym pragnął wytłumaczyć, tak bym chciał, żeby ktoś zrozumiał, ktokolwiek, choćby tylko jeden człowiek! Pan! Dlaczegoż by nie pan?

Było to uroczyście, a także i nieco śmieszne – jak zwykle walka jednostki usiłującej ocalić swoje pojęcie o tym, czym być powinna, ten sztuczny wzór postępowania – taki cenny – który jest jednym z prawideł gry, niczym więcej, lecz posiada straszliwą potęgę, bo przywłaszcza sobie bezgraniczną władzę nad przyrodzonymi ludzkimi instynktami, bo grozi okropną karą za wykroczenie przeciw sobie. Jim zaczął opowiadanie dość spokojnie. Na pokładzie parowca linii Dale, który zabrał tych czterech ludzi płynących łódką w dyskretnym blasku zachodzącego słońca, już na drugi dzień zaczęto patrzeć na nich z ukosa. Tłusty szyper opowiedział jakąś historię, pozostali milczeli i z początku wzięto wszystko za dobrą monetę. Nie bada się biednych rozbitków, których miało się szczęście ocalić – jeśli nie od okrutnej śmierci, to w każdym razie od okrutnych cierpień. Potem, kiedy już był czas na zastanowienie, może uderzyło oficerów na „Avondale”, że jest „coś podejznanego” w całej tej sprawie; ale oczywiście zachowali swoje wątpliwości dla siebie. Wzięli na pokład kapitana, oficera i dwóch maszynistów z zatopionego parowca „Patna”; to im wystarczało i powinno było wystarczyć. Nie pytałem Jima o uczucia, których doznawał podczas tych dziesięciu dni spędzonych na statku. Ze sposobu, w jaki mi o tym opowiadał, mogłem wnosić, że był poniekąd ogluszony odkryciem dokonany w samym sobie – i niewątpliwie usiłował je wytłumaczyć jedynemu człowiekowi, który był zdolny zrozumieć całą jego straszliwą doniosłość. Zrozumcie, że nie starał się pomniejszyć tego odkrycia. Jestem tego pewien – i to go właśnie wyróżnia w moich oczach. A jakich doznał uczuć, gdy wysiadł na brzeg i dowiedział się o nieprzewidzianym zakończeniu historii, w której odegrał rolę tak oplakaną, nic mi o tym nie mówił i trudno to sobie wyobrazić. Ciekaw jestem, czy miał wrażenie, że ziemia zapada mu się pod nogami. Chciałbym to wiedzieć! Lecz zapewne zdołał bardzo prędko odzyskać równowagę. Spędził na lądzie całe dwa tygodnie, czekając w Domu Marynarza, a że jednocześnie z nim przebywało tam sześciu czy siedmiu ludzi, miałem o nim trochę informacji. Obojętna opinia tych ludzi wyrażała się w zdaniu, że w dodatku do innych wad Jim jest posepnym gburem. Spędził te dni na werandzie, zagłębiony w leżaku, i opuszczał swe legowisko tylko w czasie posiłków lub późno w noc, kiedy włóczył się samotnie po bulwarach, oderwany od otoczenia, niepewny i milczący, jak duch pozbawiony domu, gdzie by mógł straszyć.

– Nie przemówiłem pewnie nawet trzech słów do nikogo przez cały ten czas – rzekł, budząc we mnie wielkie współczucie, i dodał natychmiast: – Któryś z tych ludzi byłby na pewno rąbnął coś, czego postanowiłem płazem nie puścić, a burdy nie chciałem. Nie! Wówczas nie. Byłem zanadto – zanadto... Nie miałem na to ochoty.

– A więc ta gródź ostatecznie wytrzymała – zauważyłem rażno.

– Tak – mruknął – wytrzymała. A jednak przysięgam panu, że czułem, jak mi się wydyma pod ręką.

– To nadzwyczajne, jaki napór stare żelastwo może czasem wytrzymać – rzekłem. Jim, zagłębiony w swoim fotelu, z wyciągniętymi sztywno nogami i zwieszonymi rękoma, kiwał lekko głową raz po raz. Nie można było sobie wystawić smutniejszego widoku. Nagle podniósł głowę, wyprostował się; trzepnął się w udo.

– Co za sposobność przepadła! Mój Boże, co za sposobność! – wybuchnął, a dźwięk ostatniego słowa był jak okrzyk wydarty bólem.

Znów milczał i patrzył nieruchomo w dal z namiętą tęsknotą za tą możliwością odznaczenia się, którą stracił; rozdał na chwilę nozdrza wciągając czarowne tchnienie zmarnowanej sposobności. Nie myślcie, że mię to zaskoczyło lub przejęło zgorszeniem – byłaby to z waszej strony krzyżująca niesprawiedliwość. Jakąż ten młodzik miał bujną wyobraźnię! Zdradzał się przede mną; oddawał się w moje ręce. Widziałem w jego wzroku, wbitym w noc, jak cała jego dusza porywa się i rzuca na oślep w fantastyczną krainę zuchwałych, bohaterских rojeń. Nie miał czasu żałować tego, co stracił, tak całkowicie i po prostu przejął się tym, czego osiągnąć nie zdołał. Był bardzo daleko ode mnie, choć

obserwowałem go z odległości trzech stóp. Z każdą chwilą przenikał głębiej w nieprawdopodobny świat romantycznych czynów. Dotarł wreszcie do jądra tego świata! Przeniknął ten świat do głębi – do samej głębi! Dziwna błogość rozlała się po jego twarzy, a oczy zaiskrzyły mu się w blasku świecy stojącej między nami; nawet się uśmiechnął! Taki uśmiech, pełen ekstazy, nie pojawi się nigdy na mojej twarzy ani też na waszych twarzach, moi drodzy. Ściągnąłem go na ziemię mówiąc:

– Pan chce powiedzieć – gdyby pan był został na statku!

Zwrócił się ku mnie z nagłym zdumieniem i bólem w oczach, z przelekłą, zdumioną, cierpiącą twarzą; zdawało się, że spadł z jakiejś gwiazdy. Ani wy, ani ja nie spojrzymy tak nigdy na żadnego człowieka. Wstrząsnął się gwałtownie, jakby zimny palec dotknął mu serca. Wreszcie westchnął.

Nie byłem w miłosiernym nastroju. Ten młodzik drażnił mię biegunowo sprzecznymi zwierzeniami.

– Jaka szkoda, że pan z góry nie wiedział! – rzekłem z najzłośliwszą intencją; lecz zdradliwy pocisk nie uczynił mu żadnej szkody – opadł u jego stóp jak zabłąkana strzała, a Jim nie pomyślał nawet o podjęciu tego pocisku. Może go wcale nie zauważył. Rzekł zaraz, wyciągając się wygodnie w fotelu:

– A niech to lichy! Mówię panu, że gródź się wygięła. Podnosiłem lampę wzdłuż kątownika na międzypokładzie, gdy płat rdzy, wielki jak moja dłoń, odpadł sam z siebie od arkusza. – Przesunął ręką po czole. – Ten płat poruszył się i odskoczył jak coś żywego, w chwili gdy na niego patrzyłem.

– Nie musiało być panu przyjemnie – zauważyłem niedbale.

– Sądzi pan, że myślałem o sobie, ze stu sześćdziesięciu ludźmi na karku, śpiącymi głęboko na przednim międzypokładzie! Na tylnym było ich więcej, a jeszcze więcej na górnym pokładzie; spali – nie mieli o niczym pojęcia – jedna trzecia tylko mogła się zmieścić w łodziach, nawet gdyby był czas wszystkie spuścić! Myślałem, że żelazo pęknie w chwili, gdy tam stałem, że woda wedrze się i zaleje ich tam, gdzie leżeli... I co ja mogłem zrobić – co?

Wyobraziłem go sobie z łatwością w tym zaludnionym mroku podobnym do jaskini; blask latarni oświetlał niewielką część grodzi, na którą z przeciwnej strony napierał całym ciężarem ocean – a w uszach Jima rozlegał się oddech śpiących, nieświadomych niczego pielgrzymów. Widzę go, jak się wpatruje w żelazną ścianę, przerażony spadającą rdzą, przygnieciony świadomością o nieuchronnej śmierci. Było to wówczas – jak sądzę – gdy Jim po raz drugi został wysłany na przód przez swego szypra, który prawdopodobnie chciał go się pozbyć z mostka. Według słów Jima, pierwszym jego odruchem było krzyknąć i sprawić od razu, że wszyscy ci ludzie wpadną ze snu w przerażenie; ale ogarnęło go tak przemożne poczucie własnej bezsilności, że nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ludzie pewnie to właśnie mają na myśli mówiąc, iż język przysechł do podniebienia. „Zaschło mi w gardle”, wyraził się Jim opowiadając o tym. Bez słowa wydostał się na pokład przez pierwszy luk. Spuszczony żagiel dotknął go przypadkiem; Jim pamiętał, iż lekkie muśnięcie płótna po twarzy strąciło go prawie ze schodków.

Wyznał mi, że kolana trzęsły mu się porządnie, gdy stał na przednim pokładzie patrząc znowu na śpiący tłum. Maszyny były już wówczas zatrzymane i para uchodziła. Od jej głębokiego dudnienia noc wibrowała jak basowa struna. Cały okręt dygotał.

Jim widział, jak tu i ówdzie głowa odrywała się od maty, niewyraźny kształt podnosił się i siadał nasłuchując sennie przez chwilę, po czym opuszczał się z powrotem między spiętrzone faliście skrzynie, windy parowe, wentylatory. Wiedział, że pielgrzymi za mało się orientują, aby zrozumieć ów szczególny hałas. Żelazny statek, ludzie o białych twarzach, wszystko, na co patrzyli, co słyszeli, co działo się na pokładzie, było jednakowo dziwne dla ciemnego i pobożnego tłumu i równie budzące zaufanie jak niemożliwe do zrozumienia. Mignęło Jimowi przez głowę, że tak jest lepiej. Myśl ta była wręcz straszliwa.

Musicie sobie uprzytomnić, że Jim wierzył – tak jak każdy inny wierzyłby na jego miejscu – iż statek pójdzie na dno każdej chwili; wygięte, zżarte przez rdzę arkusze, które powstrzymywały ocean, musiały niechybnie ustąpić – nagle jak podminowana tama – i wpuścić raptowny, nieodparty

zalew. Jim stał bez ruchu, patrząc na te wyciągnięte ciała – skazaniec, świadom swego losu, oglądający niemych, martwych towarzyszy. Byli martwi! Nic ich nie mogło ocalić! Łódki starczyłyby może dla połowy, ale nie było czasu. Nie było czasu! Nie było czasu! Zdawało się, że nie warto otworzyć ust, poruszyć ręką lub nogą. Zanim wykrzyknie trzy słowa lub zrobi trzy kroki, będzie się przewalał w morzu pobielatym okropnie od rozpaczliwej walki ludzkich istot, rozbrzmiewającym oszalałymi krzykami o ratunek. Nie było ratunku. Wyobrażał sobie doskonale, co nastąpi; przeżył to wszystko w myśli – stojąc nieruchomo u luku z lampą w ręku – aż do najdrobniejszych, dręczących szczegółów. Zdaje mi się, że przeżył to jeszcze raz właśnie wówczas, gdy opowiadał mi rzeczy, których nie mógł opowiedzieć w sądzie.

– Widziałem – tak jak pana teraz widzę – że nic absolutnie zrobić nie mogę. Zdawało mi się, że to poczucie odejmuje mi władzę w członkach. Pomyślałem, że wyjdzie na jedno, jeśli będę stał na miejscu i czekał. Sądziłem, iż niewiele sekund mi pozostało... – Nagle para przestała uchodzić. Jim zauważył, że choć hałas przyprawiał go o szaleństwo, cisza stała się od razu ciężąca nie do zniesienia.

– Zdawało mi się, że się uduszę, nim woda mnie zaleje – rzekł.

Zapewnił mnie, iż nie chciał się ratować. Jedna tylko wyraźna myśl to przychodziła mu do głowy, to znikła: ośmiuset ludzi i siedem łodzi; ośmiuset ludzi i siedem łodzi.

– Ktoś mówił głośno w mojej głowie – rzekł trochę nieprzytomnie. – Ośmiuset ludzi i siedem łodzi, i ani chwili czasu! Niech pan się tylko zastanowi. – Pochylił się ku mnie nad małym stolikiem, a ja usiłowałem uniknąć jego wzroku. – Czy pan myśli, że bałem się śmierci? – zapytał bardzo cicho i zapalczywie. Opuścił na stolik otwartą dłoń z taką siłą, że filiżanki od kawy podskoczyły. – Przysięgam, że nie, że nie... Nie, na Boga! – Wyprostował się i skrzyżował ramiona; głowa mu opadła na piersi.

Cichy brzęk zastawy dosięgnął nas słabo przez wysokie okna. Rozległ się gwar głosów i kilku ludzi w świetnych humorach wyszło na werandę. Zamieniali żartobliwe uwagi wspominając osły w Kairze. Kroczący z pyszną miną obieżyświat o czerwonej twarzy żartował z wybladłego, niespokojnego młodziana, stąpającego cicho na długich nogach, i wykpiwał jego zakupy w bazarze. „Nie, doprawdy – myśli pan, że nabrali mnie do tego stopnia?” – dopytywał się młodzian bardzo wolno i poważnie. Szli dalej, rozsiadając się po fotelach; błysnęły zapalki, oświetliły na chwilę twarze bez krzty wyrazu i płaski połysk białych gorsów; gwar licznych rozmów rozgrzanych biesiadowaniem wydał mi się idiotyczny i nieskończenie daleki.

– Część załogi spała na pokrywie pierwszego luku, na odległość ramienia ode mnie – zaczął Jim znowu.

Trzeba wam wiedzieć, że mieli na tym okręcie wachtę złożoną z *kelasich*<sup>14</sup>; wszyscy majtkowie spali całą noc i w razie potrzeby wzywano tylko wyznaczonych podoficerów i wartowników. Jim miał ochotę chwycić za ramię najbliższego laskara i potrząsnąć nim, ale tego nie zrobił. Coś więziło mu ręce u boków. Nie bał się wcale, o nie! tylko po prostu nie mógł się ruszyć – to wszystko. Może i nie bał się śmierci, ale wiecie, co wam powiem? – bał się tego, co miało nastąpić. Przekłeta wyobraźnia roztaczała przed nim całą okropność panicznego popłochu: gwałtowny pęd ludzi tratujących wszystko po drodze, żałosne krzyki, tonące łodzie – straszliwe okoliczności towarzyszące wszelkim katastrofom na morzu, o jakich słyszał kiedykolwiek. Może i pogodził się z myślą o śmierci, ale podejrzewam, że chciał umierać bez tej strasznej grozy, spokojnie, jak gdyby w cichym transie. Pewna gotowość na śmierć nie jest znów taka wyjątkowa, ale rzadko kiedy spotyka się ludzi, których dusze, zakute w hartowną zbroję postanowienia, są gotowe zmagać się w beznadziejnej walce do ostatka; w miarę jak nadzieja zanika, żądza spokoju staje się coraz silniejsza, aż wreszcie przewycięża nawet żądzę życia. Któż z nas tego nie zauważył lub nie doświadczył choć w części tych uczuć na własnej osobie – niezmiernego znużenia wrażeniami, marności wysiłków, tęsknoty za spoczynkiem? Ci, którzy borykają się ze ślepych siłami, znają to dobrze: rozbitkowie

---

<sup>14</sup> *kelasi* (mal.) – marynarz. [przypis edytorski]

w łodziach, wędrowcy zagubieni w pustyni, ludzie wojujący z bezmyślną potęgą natury lub głupią brutalnością tłumów.

## Rozdział ósmy

Jak długo Jim stał u luku bez ruchu, spodziewając się każdej chwili, że okręt zapadnie mu się pod nogami, a prąd wody zaleje go z tyłu i podrzuci jak wiór – tego nie umiem powiedzieć. Nie bardzo długo – może ze dwie minuty. Dwóch mężczyzn, których nie mógł dojrzeć, zaczęło sennie rozmawiać; doszedł go skądś dziwny odgłos szurających nóg. Ponad tymi słabymi dźwiękami wisiła okropna cisza poprzedzająca klęskę, wisiła dręczące milczenie właściwe chwilom poprzedzającym katastrofę. Nagle przyszło Jimowi do głowy, że może zdąży pobiec i poprzecinać wszystkie rejki od łożysk, aby łodzi mogły się utrzymać na powierzchni, gdy okręt pójdzie na dno.

„Patna” miała długi mostek; wszystkie łodzie były na górze, cztery z jednej strony i trzy z drugiej – najmniejsza z nich przy lewej burcie, prawie na jednej linii z osprzętem sterowym. Jim, wyraźnie zaniepokojony, czy mu uwierzę, zapewnił mnie, że przygotował je z największą starannością do natychmiastowego użytku. Znał swoje obowiązki. Sądzę, że pod tym względem był wcale dobrym oficerem.

– Uważałem zawsze, że trzeba być przygotowanym na najgorsze – rzekł patrząc mi niespokojnie w twarz. Kiwnąłem potakująco głową, zaznaczając, że zgadzam się z tą zdrową zasadą, i odwracając oczy od niepochwytnej ułomności tego człowieka.

Mówił, mi dalej, iż ruszył z miejsca i biegł niepewnie. Musiał przestępować przez nogi, unikać potknięcia się o głowy. Nagle ktoś chwycił go z dołu za kurtkę i zrozpaczony głos przemówił spod jego łokcia. Jim trzymał w prawej ręce lampę; światło jej padło na zadartą ciemną twarz, której oczy błagały go razem z głosem. Otrzaskany z językiem krajowców, Jim zrozumiał słowo: woda, powtórzono kilkakrotnie z naciskiem w tonie modlitwy, prawie z rozpaczą. Szarpnął się, aby się wyswobodzić, i poczuł, że czyjeś ramię opasuje mu nogi.

– Ten drab uczeplił się mnie jak tonący – rzekł z przejęciem. – „Woda, woda!” Jakąż on wodę miał na myśli? Czy on co wiedział? Z całym spokojem, na jaki tylko mogłem się zdobyć, rozkazałem, aby mnie puścił. Zatrzymywał mnie; czas naglił, inni ludzie zaczęli się ruszać; a ja potrzebowałem czasu – czasu, aby poprzecinać więzy trzymające łodzie. Chwycił mnie teraz za rękę; czułem, iż zacznę krzyzczeć! Błysnęło mi, że to by wystarczyło dla wywołania paniki; zamachnąłem się wolną ręką i rzuciłem mu lampę w twarz. Szkło brzękło, lampa zgasła, ale to uderzenie sprawiło, że mnie puścił; uciekłem – chciałem się dostać do łódek! Skoczył za mną. Rzuciłem się na niego. Nie myślałem się uspokoić; usiłowałem krzyzczeć; o mało go nie udusiłem, nim zrozumiałem, o co mu chodzi. Chciał trochę wody – wody do picia; wydzielali im skąpe racje, rozumie pan, a on miał z sobą młodego chłopca, którego przedtem kilka razy zauważyłem. Syn jego był chory i spragniony. Człowiek ów dojrzał mnie, gdym go mijał, i poprosił o trochę wody. To było wszystko. Staliśmy w ciemności pod mostkiem. Chwytał mnie ciągle za rękę; nie było sposobu go się pozbyć. Wpadłem do swojej kabiny, porwałem butelkę z wodą i wetknąłem mu ją do ręki. Znikł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo sam byłem spragniony.

Jim oparł się na łokciu i ocienił ręką oczy. Czułem, jak mi dreszcz zbiega po grzbiecie; w tym wszystkim było coś szczególnego. Palce ręki osłaniającej mu czoło drżały z lekka. Przerwał krótkie milczenie.

– Te rzeczy zdarzają się człowiekowi tylko raz w życiu i... Ale co tam! Kiedy wróciłem wreszcie na mostek, tamte draby usiłowały zdjąć łódź z łożyska. Łódź! Wbiegałem właśnie po drabinie, gdy silne uderzenie spadło mi na ramię, o włos od głowy. Nie zatrzymało mnie to, a główny mechanik – wyciągnięto go już podówczas z koi – znowu zamierzył się na mnie drążkiem od pokrowca. Byłem tak jakoś usposobiony, że niczemu się nie dziwiłem. Wszystko to wydawało mi się naturalne – i okropne... okropne. Wymknąłem się temu nędznemu wariatowi, podniosłem go z pokładu jak piórko, a on zaczął mi szeptać w ramionach: „Niechże mnie pan puści! Myślałem, że to nie pan, tylko jeden z tych tam Murzynów”. Odrzuciłem go precz; potknął się na mostku i zbił

z nóg tego małego faceta, drugiego mechanika. Szyper, krzątający się koło łodzi, obejrzał się i zaczął iść na mnie ze spuszczoną głową, warcząc jak dzika bestia. Stałem w miejscu jak słup. Anim drgnął, jakbym był o, tym – stuknął z lekka kostkami palców w ścianę koło swego krzesła. – Zdawało mi się, że słyszałem to wszystko, widziałem to wszystko, przeszedłem przez to wszystko już dwadzieścia razy. Nie bałem się ich. Cofnąłem wyciągniętą pięść, a on zatrzymał się mruczając: „A to pan. Prędko, pomagaj pan”. Tak powiedział. Prędko! Jakby szybkość tu mogła coś znaczyć! „A co wy chcecie zrobić?” – zapytałem. „Zwiać” – warknął przez ramię.

– Nie zdaje mi się, abym wtedy zrozumiał, co szyper miał na myśli. Tamci dwaj dźwignęli się tymczasem na nogi i pobiegli do łódki. Dreptali, sapali, popychali się, klęli na łódź, na okręt, na siebie – klęli na mnie. Wszystko szeptem. Nie ruszałem się wcale, nie mówiłem nic. Śledziłem pochylenie statku. Tkwił tak nieruchomo, jakby był osadzony na blokach w suchym doku, tylko że wyglądał tak: – Podniósł rękę dłonią w dół i pochylił palce. – O tak – powtórzył. – Widziałem przed sobą nad dziobem linię widnokregu jak na dłoni; widziałem hen daleko wodę czarną i błyszczącą, i cichą – cichą jak staw, śmiertelnie cichą, cichszą niż kiedykolwiek – tak cichą, że nie mogłem znieść jej widoku. Czy pan kiedy śledził statek pochyłony dziobem w dół, statek, któremu przeszkadza pójść na dno płyta starego żelaza, zżarta przez rdzę do tego stopnia, że nie można jej nawet podeprzeć? Był pan kiedy w takim położeniu? Aha, podeprzeć! Myślałem o tym – o czym ja wówczas nie myślałem! – ale czy można podeprzeć gródź w pięć minut – albo chociażby w pięćdziesiąt? Skąd wziąć ludzi, którzy by poszli tam na dół? A drzewo – drzewo? Czy byłby pan miał odwagę zamachnąć się młotem i uderzyć w gródź, gdyby pan przedtem ją widział? Niech pan nie mówi, że tak; nie widział pan jej; nikt by się na to nie odważył. Żeby taką rzecz zrobić, trzeba wierzyć, że to jest możliwe, do licha – że jest możliwość choćby jedna na tysiąc, że jest choćby cień nadziei; a temu by pan nie uwierzył. Nikt nie byłby temu uwierzył. Pan mnie uważa za psa, ponieważ tam stałem bez ruchu, ale co pan byłby zrobił na moim miejscu? Właśnie! Ani pan, ani nikt powiedziec mi tego nie może. Na rozejrzanie się trzeba mieć czas, a co ja mogłem zrobić? Czy miałem dopuścić, żeby wszyscy ci ludzie, których przecież sam wyratować nie mogłem, których nic wyratować nie mogło – żeby ci ludzie poszaleli z trwogi? Proszę pana, tak jak tu na tym krześle przed panem siedzę...

Dyszał gorączkowo co kilka słów i rzucał na mnie szybko wzrokiem, jakby w udręce badał na mej twarzy wrażenie, które wywierał. Nie mówił do mnie, mówił tylko w mojej obecności, spierał się z jakąś niewidzialną osobistością, wrogim i nieodłącznym współnikiem swego istnienia – drugim właścicielem swej duszy. Wynik sporu był poza kompetencją sądu: ten spór o prawdziwą istotę życia, niezmiernie subtelny i doniosły, sędziego nie potrzebował. Jim pragnął sprzymierzeńca, pomocnika, współwinowajcy. Czułem, że grozi mi z jego strony podejście, obałamucenie, pułapka, może nawet gwałt, byłem tylko chciał zająć wyraźne stanowisko w sporze niemożliwym do rozstrzygnięcia – gdyż niepodobna było wymierzyć sprawiedliwości wszystkim zjawom gnieżdżącym się w duszy Jima: i szlachetnym, które miały swoje prawa, i niegodnym, które stawiały swoje wymagania. Nie umiem wam wytłumaczyć mych sprzecznych uczuć, wam, którzyście go nie widzieli i słyszycie jego słowa tylko z moich ust. Zdawało mi się, że mnie zmuszają do zrozumienia Niepojętego – a nie znam nic przykrzejszego od takiego uczucia. Kazano mi oglądać płytkość czającą się w każdej prawdzie i zasadniczą szczerłość fałszu. Jim przemawiał do wszystkich stron mojej duszy – do tej, która jest zawsze zwrócona ku światłu, i do tamtego naszego oblicza, co jak druga półkula miesiąca, istnieje potajemnie w wiecznym mroku, oświetlona niekiedy z samego brzegu okropnym, szarym blaskiem. Byłem pod wpływem Jima. Przyznaję się do tego, wyznaję to. Jego wypadek jest nieciekawym, mętnym – wszystko, co chcecie: zgubiony młodzieniec, wśród miliona innych – ale jednak był to jeden z nas; jego przygoda miała równie małe znaczenie jak zatopienie mrowiska, a przecież tajemnicza postawa tego człowieka zaprzętała mię tak bardzo, jak gdyby on był najwybitniejszą jednostką swego rodzaju, jakby niejasna prawda ukryta w jego głębi dość była doniosła, by wpłynąć na wyobrażenie ludzkości o samej sobie...

Marlow zatrzymał się, żeby tchnąć życie w zamierające cygaro; zdawało się, iż zapomniał doszczętnie o swym opowiadaniu, gdy nagle zaczął znowu:

– Naturalnie, że to moja wina. Człowiek nie powinien doprawdy tak się przejmować. To słabość z mej strony. Jego słabość była innego rodzaju. Moja polega na tym, że nie mam dość bystrego wzroku dla rzeczy przypadkowych – zewnętrznych – że nie dostrzegam koszyka gałganiarza lub cienkiej bielizny sąsiada. Stykałem się z tylu ludźmi – ciągnął z przelotnym smutkiem – a stykałem się z nimi z pewnym... pewnym, powiedzmy, rozpędem, tak jak z tym chłopcem na przykład, i za każdym razem umiałem w nich dostrzec tylko człowieka. Mam jakiś podły, demokratyczny rodzaj wzroku, który może jest lepszy od zupełnej ślepoty, ale nie przynosi mi pożytku – o tym was mogę zapewnić. Ludzie się spodziewają, że się weźmie pod uwagę ich piękną bieliznę; nie umiałem nigdy wzbudzić w sobie zachwyty dla rzeczy tego rodzaju. A to jest wadą; jest wadą. No i przychodzi taki łagodny wieczór jak dziś; naokoło mnie siedzą ludzie zbyt leniwi, aby grać w wista – i zaczyna się opowiadanie...

Zatrzymał się znów, czekając może na jakąś zachęcającą uwagę, ale nikt się nie odezwał; tylko gospodarz jak gdyby niechętnie spełniając swój obowiązek mruknął:

– Jesteś subtelny, Marlow.

– Kto? ja? – rzekł Marlow cichym głosem. – Ach nie, ale Jim był subtelny; i choćbym się nie wiem jak starał, aby to opowiadanie dobrze wypadło, uchodzi mi mnóstwo odcieni – takie są delikatne, takie trudne do oddania w bezbarwnych słowach. A Jim komplikował jeszcze sprawę przez to, że był taki prosty – ileż ten nieborak miał prostoty!... naprawdę, że mnie zdumiewał. Siedział tam i mówił: że tak, jak go widzę przed sobą, nigdy by się nie uląkł niczego – i wierzył w to w dodatku! Mówię wam, to było bajecznie naiwne – i niesłychane, niesłychane! Obserwowałem go skrycie, zupełnie jakbym podejrzewał, że chce mię porządnie nabrać. Był przekonany, iż mówiąc uczciwie – „uczciwie, rozumie pan!” – nie ma rzeczy, przed którą by się cofnął. Już kiedy był ot, takim, „zupełnie małym smykem”, przygotowywał się do spotkania wszelkich trudności, jakie się mogą przydarzyć na lądzie i morzu. Przyznawał się z dumą do swej przezorności, obmyślał niebezpieczeństwa i obronę przed nimi, spodziewając się najcięższych prób, przeświadczony, że się z nich jak najlepiej wywiąże. Musiał wieść życie pełne egzaltacji. Czy możecie je sobie wyobrazić? Nieustanny szereg przygód, sława, zwycięski pochód naprzód – i głębokie poczucie własnej zaradności, które nie opuszczało go ani na chwilę. Zapamiętał się mówiąc; oczy mu błyszczały; każde słowo zdradzało coraz wyraźniej całą jego niedorzeczność – a mnie serce ciążyło coraz dotkliwiej. Nie miałem najmniejszej ochoty do śmiechu i aby się nie uśmiechnąć, przybrałem niewzruszony wyraz twarzy. Jim zaczął przejawiać irytację. „Zawsze zdarza się to, czego człowiek nie oczekuje” – rzekłem pojednawczym tonem. Moja niewzruszoność wyrwała mu pogardliwe: „Et!” Pewno chciał dać przez to do zrozumienia, że żadna niespodzianka nie wytrąciłaby go z równowagi; chyba tylko coś niepojętego mogłoby zaszachować jego bezwzględną gotowość na wszystko. Został zaskoczony. Mruknął pod nosem przekleństwo na morze i niebo, na statek, na ludzi.

Wszystko go zdradziło! Został chytrze wciągnięty w pewnego rodzaju wzniosłą rezygnację, która nie pozwoliła mu nawet ruszyć palcem; a tymczasem tamci, zdający sobie jasno sprawę z położenia, pracowali w pocie czoła nad spuszczeniem łodzi potracając się nawzajem. Coś się tam popsuło w ostatniej chwili. Zdaje się, że w pośpiechu doprowadzili jakimś dziwnym sposobem do tego, że bolec z przodu łożyska zaciął się na głucho; stracili resztę przytomności wobec tego fatalnego wypadku. Ładny widok musiały przedstawiać te zapamiętałe wysiłki czterech drabów mozolących się na nieruchomym statku, który unosił się spokojnie na wodzie wśród ciszy śpiącego świata; starali się wyzyskać każdą chwilę w walce o oswobodzenie tej łodzi; pełzali na czworakach, dźwigali się z rozpaczą i ciągnęli, pchali, warcząc jadłowicie na siebie, gotowi zabić, gotowi płakać; od skoczenia sobie nawzajem do gardła powstrzymywał ich tylko strach przed śmiercią, która stała spokojnie nad nimi jak nieugięty poborca o chłodnym spojrzeniu. O tak! to musiał być ładny widok. Jim widział to wszystko i mógł o tym mówić z pogardą i goryczą; a był dokładnie o wszystkim powiadomiony

chyba za pomocą szóstego zmysłu, ponieważ przysiągł mi, że trzymał się cały czas na uboczu i nie spojrział ani razu na nich i na łódź – ani razu. A ja mu wierzyłem. Sądzę, że był zbyt pochłonięty śledzeniem niebezpiecznie pochylonego statku – groźbą zagłady odkrytą wśród najzupełniejszego bezpieczeństwa – że urzekł go miecz wiszący na włosku nad jego romantyczną głową.

Wszystko było nieruchome przed jego oczami; nic mu nie przeszkadzało wyobrazić sobie, jak ciemny widnokrąg nagle się wzniesie, a rozległa morska równina przechyli się w górę; widział szybkie, ciche zbliżanie się przepaści, brutalny jej skok i chwyt, beznadziejną walkę, gasnące światło gwiazd, mrok zwierający się na zawsze nad jego głową jak sklepienie grobu, bunt swego młodego życia – czarny kres. Wyobrażał sobie to wszystko! Na Boga, kto by sobie tego nie wyobraził? A trzeba pamiętać, że Jim był artystą w owym szczególnym zakresie, że ten nieborak miał dar szybkiej wizji poprzedzającej wypadki. Widok, który się przed nim roztoczył, obrócił go od stóp do głów w kamień; ale w głowie kłębiły mu się gorączkowe myśli, kulawe, ślepe, nieme myśli – wir okropnych kalek. Czy nie mówiłem wam, że się przede mną spowiadał, jakbym miał władzę potępić go lub rozgrzeszyć? Rył się w sobie coraz głębiej w nadziei na moje rozgrzeszenie – które by mu się na nic nie przydało. Był to jeden z tych wypadków, których żaden uroczysty fałsz nie może złagodzić, którym zaradzić nie jest w ludzkiej mocy; sam Stwórca zdaje się grzesznika opuszczać i zostawiać go samemu sobie.

Jim stał z prawej strony mostka, odsunawszy się jak najdalej od walki o łódź – walki tajemnej niby spiszek i toczącej się wśród wariackiego podniecenia. Tymczasem obaj Malaje pozostali u koła trzymając ręce na szprychach. Wyobraźcie sobie aktorów tego – dzięki Bogu – wyjątkowego morskiego epizodu; czterech ludzi wprost oszalałych od gwałtownych, skrytych wysiłków i trzech przypatrujących się im w zupełnym bezruchu – ponad płóciennym dachem osłaniającym głęboką nieświadomość setek ludzkich istot wraz z ich znużeniem, marzeniami, nadziejami – istot zatrzymanych przez niewidzialną rękę na skraju zagłady. Bo że tak było, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; zważywszy na stan okrętu, uważam ów wypadek za jeden z najgorszych, jakie się mogą wydarzyć. Te draby u łodzi miały aż nadto powodów do wariowania ze strachu. Mówię szczerze; gdybym się tam znalazł, nie dałbym i złamanego szeląga, że okręt się utrzyma na powierzchni przez następną sekundę. A jednak unosił się wciąż na wodzie. Przeznaczeniem tych śpiących pielgrzymów było, aby dokonali swej wędrówki w goryczy – inny jakiś koniec był im sądzony. Zdawało się, że Wszepochotęga, w której miłosierdzie wierzyli, potrzebując jeszcze na chwilę świadectwa ich pokory na tej ziemi, spojrzała w dół, aby oceanowi dać znak: „Nie wolno!” Ocalenie „Patny” byłoby dla mnie faktem absolutnie niepojętym, gdybym nie wiedział, do jakiego stopnia stare żelazo jest czasem wytrzymałe – równie wytrzymałe niekiedy jak duch ludzi, jakich się spotyka od czasu do czasu, ludzi zużytych do cna, lecz dźwigających wciąż ciężar życia.

Jednym z najdziwniejszych objawów w ciągu tych dwudziestu minut było według mnie zachowanie obu sterników. Należeli do gromady przeróżnych krajowców sprowadzonych z Adenu dla zeznań w czasie śledztwa. Jeden z nich, walczący z wielką nieśmiałością, bardzo był młody, a sądząc z jego gładkiej, żółtej, wesołej twarzy, można było myśleć, że jest jeszcze młodszy niż w rzeczywistości. Pamiętam doskonale, jak Brierly zapytał go przez tłumacza, co myślał w owej chwili, tłumacz zaś, zamieniwszy z nim kilka słów, zwrócił się do sądu z godną miną: „Mówi, że nic nie myślał”.

Drugi sternik, o cierpliwych, mrugających oczach, miał na głowie zwiniętą zręcznie niebieską bawełnianą chustę, wyblakłą od prania, spod której sterczało mnóstwo siwych kosmyków. Twarz jego była pomarszczona, zapadła, ponura, a cera brunatna, pociemniała od sieci zmarszczek; wyjaśnił, że wiedział, iż coś złego się dzieje ze statkiem, ale nie otrzymał żadnego rozkazu; nie pamiętał, aby mu dano jaki rozkaz; dlaczegoż by miał opuścić ster? Przy dalszych pytaniach wyprężył nagle ruchem chude barki i oświadczył, że mu nawet nie przyszło do głowy, aby biali mogli opuścić okręt ze strachu przed śmiercią. Nawet i teraz w to nie wierzy. Musiały tam być jakieś ukryte przyczyny. Pokiwał znacząco brodą. Aha! ukryte przyczyny. Jest człowiekiem wielce doświadczonym i chce, aby ten biały tuan wiedział – zwrócił się ku Brierly'emu, który nie podniósł głowy – że on, sternik, nabył wiele

wiadomości służąc białym ludziom na morzu przez długie lata. I nagle, trzęsąc się z podniecenia, zaczął sypać przed skupioną uważnie publicznością mnóstwo dziwacznie brzmiących imion, nazwisk zmarłych szyprów, nazw zapomnianych statków krajowych, słów o brzmieniu znanym i wypaczonym, jakby ręka niemego czasu ciążyła na nich od wieków. Zatrzymano go wreszcie. Cisza zaległa salę – cisza nie zamacona co najmniej w ciągu minuty i przechodząca stopniowo w głęboki pogwar. Ten epizod zrobił sensację w drugim dniu śledztwa; wywarł wrażenie na publiczności, wywarł wrażenie na wszystkich prócz Jima, który siedział posepnie u końca pierwszej ławki i nie podniósł oczu ani razu na tego niezwykłego i obciążającego świadka, co zdawał się posiadać jakiś tajemniczy system obrony.

Tedy obaj laskarowie tkwili u koła tego okrętu, którym nie można już było sterować, i śmierć by ich tam zastała, gdyby takie było ich przeznaczenie. Biali nie popatrzyli na nich nawet przelotnie, zapomnieli widać o ich istnieniu. W każdym razie Jim sobie tego nie przypominał. Pamiętał tylko to, że czuł się zupełnie bezsilny – ponieważ był sam jeden. Pozostawało mu tylko zatonać razem z okrętem. Czy warto było zakłócać ludziom spokój? I po co? Czekał bez słowa, stężyły w tej jednej myśli – w pewnego rodzaju bohaterskiej dyskrecji. Pierwszy mechanik przebiegł ostrożnie w poprzek mostku i pociągnął go za rękaw. „Chodź pan i pomóż! Na miłość boską, chodźże pan i pomóż!” Pobiegnął do łodzi na palcach i wrócił natychmiast, żeby ciągnąć znów Jima za rękaw, błagając go i przeklinając zarazem.

– Zdawało się, że gotów mnie całować po rękach – rzekł Jim z wściekłością – a zaraz potem zaczął się pienieć i szeptać mi w twarz: „Gdybym miał czas, z rozkoszą bym łeb panu roztrzaskał”. Odepchnąłem go. Nagle chwycił mnie za szyję. Uderzyłem go, psiakrew. Biłem, gdzie popadło. „Nie chcesz się wyratować – ty piekielny tchórze?” – zaszlochał. Tchórze! Nazwał mnie piekielnym tchórzem! Cha, cha, cha, cha! Nazwał mnie – cha, cha, cha!...

Jim rzucił się w tył i dygotał ze śmiechu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie gorzkiego. Ten śmiech padł jak zaraza na paplaninę o osłach, piramidach, bazarach i tak dalej. Wzdłuż całej galerii, długiej i ciemnej, głosy przycichły, blade plamy twarzy zwróciły się jednocześnie w naszą stronę i cisza stała się tak głęboka, że jasny dźwięk łyżeczki padającej na mozaikową posadzkę werandy zabrzmiał jak wąty, srebrzysty krzyk.

– Niech się pan tak nie śmieje, tu pełno ludzi – strofowałem go. – To nie wypada, pan przecież rozumie.

Z początku nie było po nim widać, czy mnie usłyszał, ale po chwili mruknął niedbale, patrząc mimo mnie wzrokiem, który zdawał się przenikać w głąb jakiegoś straszliwego zjawiska:

– Ach, pomyślą, że jestem pijany.

Sądząc po jego wyglądzie, można było przypuszczać, że nigdy nie wyrzeknie już ani słowa. Ale gdzież tam! Nie mógł już teraz przestać mówić, tak jakby nie mógł przestać żyć przez sam wysiłek woli.

## **Rozdział dziewiąty**

Mówiłem w myśli: „Toń, przeklęty! toń!” – To były słowa, od których rozpoczął na nowo. Pragnął, żeby to się już raz skończyło. Zostawiono go w zupełnym spokoju i zwracał się tak w duszy do statku, złorzecząc mu, a jednocześnie widział sceny jakby wyjęte z nędznej komedii. Mordowali się wciąż nad tym bolcem. Szyper rozkazywał:

„Wleźcie pod spód i starajcie się łódź podnieść” – ale tamci nie chcieli. Rozumiecie – nie byłoby przyjemnie dać się zaskoczyć, leżąc na płask pod kilem łodzi, w razie gdyby okręt poszedł nagle na dno.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.